

Pamiętniki

Pani Jadwigi Haberowej

wr. 1906 v.

cz. II.

Lata 1944-1945

Witold Łothemski

ul. Brzozowa 10 m 7

00-286-W-wie

telex 31-69-14

Przeprawa: Maria Balcerowska - Kita

2.07.1992

Jr,

Z wiedzy życia swojego, z doświadczeń i wydarzeń czerpię natchnienie do pisania autentycznego, bez fałszu i kłamstwa poniżającego godność ludzką.

Myśli moje zaprzątane wspomnieniem przeżytych ciężkich wydarzeń życiowych stają się bodźcem do rozmyślań, dociekań szukania prawdy i sprawiedliwości dziejowej.

Moje życie nie płynęło szeroką rzeką błękitną, lecz strumykiem pełnym zakrętów - wśród wierzb płaczących, wypełnionym było treścią goryczy i łez.

Rozpiszę na miesiące i lata bowiem tkwi we mnie pragnienie przekazywania prawdy - by coś przekazać i po sobie zostawić.

Coraz częściej budzą się refleksje, przychodzi gorzka samoświadomość przemijania nieodwracalnego losu, nieuniknionego kresu z życiem rozstania.

Pragnę przekazać, udostępnić ludziom gorzkie doświadczenia swojego życia - losu jednej z tak licznych polskich rodzin.

Z Pańskiej Doliny przyjechała "Ola" zdecydowana pozostać z nami.

Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą pomimo różnicy wieku - jak się okazało później na długą ciężką wspólną drogę życia, którą nam los przeznaczył. Poznałam bliżej to przesiąknięte patriotyzmem dziewczę - dzielne, wartościowe z zacnego domu. Dzieje jej, pomimo młodocianego wieku wówczas można by opisać i w nie jednym tomie zamieścić.

Zbliżały się święta Wielkanocne 1944 r. " Ola " czyli Nusia (zdrobniałe od imienia Bronisława) posiadająca już zdolności kulinarne, najbardziej z nas wszystkich zasobna w artykuły spożywcze, bowiem została zaopatrzona przez przyjaciół z placówki Pańska Dolina, przystąpiła wspólnie z " Mamą " i pomocą pozostałych nas niewiast do przygotowywania tradycyjnych Świąt Wielkanocnych.

W ten sposób w pierwszy dzień świąteczny po nabożeństwie zasiadliśmy do wspólnego śniadania w naszej przybranej rodzinie zmniejszonej o Bolka i pana Czesława. Było nas pięć kobiet; " Mama " - jej dwie córki Helena i Figa, Nusia i ja oraz malutka córunka " Figi " i Czesława. Jednym przedstawicielem płci męskiej był pan Stańczyk. W takim to składzie w serdecznej-pełnej życzliwości, ciepłej atmosferze - podzieliliśmy się tradycyjnymi święconym i spędziliśmy parę godzin na snuciu wspomnień z dużym ładunkiem smutku i niepewności losów i tęsknoty - wybiegając myślą do swoich bliskich, nieobecnych....

Jak zwykle promieniująca pogodą ducha " Mama " o niewyczerpanej sile i odporności psychicznej- sugerowała nam optymistycznie przewidywanie szybkiego już zakończenia wojny, plany oczekującego nas ^{wysiłku} odbudowy kraju zniszczonego przez okupanta. Życzyliśmy sobie przetrwania i spotkania z naszymi najbliższymi, nieobecnymi chwilowo, których włączenie się do otwartej walki z wrogiem napełniał nas nadzieją i niepokojem.

Myśli swoje kierowaliśmy również do tych, którzy walczą na wszystkich frontach, a sercem współczującym ogarnialiśmy wszystkich cierpiących znajdujących się w niewoli, w obozach koncentracyjnych pod przemocą wrogów.

Z sercem przepełnionym bólem wspominaliśmy tych, co odeszli na zawsze, zginęli bohaterską śmiercią, których skazano na śmierć okrutną w męczeniach.

Jak cenna jest przyjaźń ludzka, jak kojąca jest życzliwość dobrych zacnych i mądrych ludzi - przekonałam się mieszkając w rodzinie Strusińskich, a także w rodzinie Stańczyków. Byłyśmy z Nusią owiane atmosferą ciepła, serdeczną, odczuwalną na każdym kroku. Pokochałam ich całym sercem, jak własną rodzinę i przez wszystkie trudne dni życia błogosławiłam dzień, w którym los pozwolił nam poznać tak bardzo wartościowych, pod każdym względem szlachetnych ludzi.

Po świętach zaczęłam rozglądać się za pracą. Na powrót do apteki nie było szansy narazie, wciąż jeszcze nie istniała. Przez kogoś nieznanego otrzymałam parę słów od Bolka. Narazie mnie to uspokoiło o tyle, że data na kartce świadczyła o tym, że pisał już po zasłyszonym bombardowaniu Darnicy - nie-mniej nie znaczyło wcale, że bombardowanie tego rodzaju więcej się nie powtórzy - wszak wojna trwa. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że ostatnie ~~ich~~ jej rozgrywki jeszcze wiele ofiar pochłoną i niejednego nie oszczędzą. Będą do końca wrażenia, a nasze serca będą przepełnione niepokojem.

Bolek pisał krótko, treściwie z właściwym sobie optymizmem, że czuje się lepiej, nieznośne bóle ustąpiły, żebym się nie martwiła. Wiedziałam, że słowa te stosował na pokrzepienie serca mojego - przeto nie przekonywały mnie. Miałam duże wątpliwości co do jego stanu zdrowia,

mając przed oczami Jego wygląd przed odjazdem na dworcu w Łucku.

Dowiedziałam się, że na Jagiellońskiej organizują Apteko-bazę. Poszłam dowiedzieć się, czy z chwilą otwarcia apteki nie znalazłaby się szansa zatrudnienia w charakterze kasjerki. Kierownictwo Apteko-bazy powierzono cudem ocalałemu (narodowości żydowskiej) byłemu właścicielowi z przed wojny " optyki i drogerii" w Łucku przy Jagiellońskiej magistrowi Kurcrogowi.

Nie znałam go osobiście tylko z widzenia- bowiem za dobrych czasów - dobrze zaopatrzoną drogerię odwiedzałam dość często. Znana to była firma z własnym laboratorium o szerokim asortymencie.

Udało mu się szczęśliwie przed okupantem uchronić swe życie dzięki życzliwym ludziom przechowującym go w czasie okupacji hitlerowskiej.

Był to w średnim wieku bardzo kulturalny i życzliwy człowiek. Z miejsca zaproponował mi pracę w Apteko-bazie na stanowisku księgowej. Przyjęłam bez namysłu. Zawdzięczając życzliwości kierownika i mojej inicjatywie w parę dni później znalazłam się obok mnie przy biurku Helenka Stańczyk, następnie wiedząc o potrzebie obsadzenia innych stanowisk umożliwiłam podjęcie pracy Stanisławie Szachniewicz po mężu Sołtys - żonie Jerzego brata Wisi Gigielowej.

W czasie mojej pracy - pewnego dnia przyszła do Bazy Danka. Była kierowniczką apteki, w której pracowałam poprzednio. Jej to znowu powierzono otwarcie apteki. Posiadała dyplom magistra farmacji i praktykę.

Przy okazji naszego spotkania zwróciła się do mnie z propozycją objęcia ponownie stanowiska kasjerki w aptece. Chwilę zastanawiałam się, bowiem dobrze mi się z nią praca układała. Błyskawicznie rozważyłam za i przeciw i choć miałam znacznie bliżej od miejsca swojego zamieszkania coś mnie powstrzymywało, postanowiłam pozostać w Apteko-bazie wśród życzliwych znanych mi ludzi, z którymi los mnie związał bliżej. Nie lubiłam zresztą nigdy częstych zmian pracy.

Wspólnie z Helenką pokonywałyśmy codziennie odległość z miejsca zamieszkania do pracy. Nusia pozostawała w domu. Nie miała przygotowania do żadnego zawodu. Ze szkoły - skończyła od razu w konspiracyjne życie. Była rozgarnięta, sprytna posiadała zainteresowanie i rzetelność. W każdej podejmowanej i wykonywanej pracy, co niewątpliwie w połączeniu z posiadaną dyscypliną wewnętrzną dociekliwością - uczyniłoby z niej dobrą pracownicę na każdym nie wymagającym specjalizacji stanowisku.

Do Apteko-bazy coraz częściej przychodzili dygnitarze wojskowi - starsi rangą - konferowali w gabinecie kierownika, oglądali całe pomieszczenia pozorując zainteresowanie lokalem. Kiedyś wracając z pracy z Helenką wstąpiłam do Tani Kurcy i Felka G., których przechowywali w czasie okupacji Strusińscy na ulicy Jagiellońskiej. Wychodząc od nich zauważyliśmy najwyraźniej obserwującego nas stojącego po przeciwległej stronie ulicy mężczyznę. Kilka razy spotkałam już tę sylwetkę, gdy wychodziłam po pracy z biura.

Jakaś podejrzana kreatura dość często przewijała się przed moimi oczami. Stał, rozglądał się, coś węszył.

Kiedyś zjawił się do nas na lotniczą z innym, jakimś osobnikiem pod jakimś pretekstem, rzekomo szukając kogoś. Był to niewątpliwie przydzielony do śledzenia nas funkcjonariusz NKWD.

Wiosna roztaczała swój urok w całej pełni tworząc kontrast z nastrojem nie budzącym nadziei. Drzewa i krzewy pokrywały się delikatną mgiełką zieleni. Ptaki nie znające czasu wojny i przygnębienia swiergotaniem zapełniały ogrody i parki.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwałam wiadomości od Bolka. Docierały niepokojące wieści o silnych bombardowaniach, szczególnie wojskowych transportów kolejowych. Często nawiedzały mnie przebłyski nadziei na zobaczenie się z Bolkiem. Myślałam - może po wcieleniu do wojska jadąc na front, będzie jechał przez Łuck. Po pracy chodziłam na stację kolejową, śledziłam ruch taborów wojskowych kolejowych i samochodowych, wyszukując wśród wojskowych żołnierzy - Jego sylwetki i wymizerowanej twarzy. Jeździłam do Kiwerc kilka razy. Czasem myśli pesymistyczne w zmęczonej głowie przekreślały wszelkie nadzieje spotkania, to znów optymistyczne wracały - przecież jest wiele innych frontów, na które Bolek może być wysłany. A może ma uciążliwe ćwiczenia, co przy jego nadszarpniętym zdrowiu, dolegliwościach wrzodowych, może doprowadzić do katastrofy. Mając uspołobienie i skłonności do rozmyślań pesymistycznych formalnie zadręczałam się niepewnym losem najbliższego mi człowieka i wielu innych, którzy byli w podobnej sytuacji i okolicznościach.

Odwiedził nas Piotr R. ps. " Ruda " jak zwykle mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Był bardzo bliskim dla nas życzliwym człowiekiem. Opowiadał, że nadal mieszka z rodziną na Hnidowie w jakimś ~~jakimś~~ na wół zrujnowanym domu, szuka pracy. ✓

Nie ma możliwości powrotu na wieś, nie widzi w obecnej sytuacji żadnej perspektywy ani możliwości gospodarowania na roli, ponieważ wciąż jeszcze grasują bandy dywersyjne ukraińskich faszystów, niszczą Polaków jak w okresie okupacji. Nowe zagadnienie wyłania się dla mnie, w jaki sposób mogłabym pomóc. Ma rodzinę na utrzymaniu: żonę, matkę i dwie córeczki. Szukałam w myślach moich i jakoś w tej niepewnej sytuacji nic mi nie przychodziło do głowy. W Bazie aptecznej wszystkie etaty były już obsadzone a " RUDy " poza rolnictwem nie miał przygotowania do żadnego zawodu.

Wkrótce jednak nadarzyła się możliwość zatrudnienia Piotra. Spotkałam przypadkowo kolegę z okresu mojej pracy w Zarządzie Miejskim. Był to uczynny, życzliwy człowiek - dobry kolega. Lubiłam go za jego zawsze pogodne usposobienie i opanowanie. Musiał o sprawach trudnych mówić w sposób łatwy.

Z rozmowy okazało się, że pracuje w charakterze brygadzysty przy wydobywaniu torfu na łąkach hnidawskich. Nadspodziewanie dla mnie po przedstawieniu mu sprawy Piotra R. bez wahania przyrzekł go zatrudnić. Po skontaktowaniu ich z sobą kolega Bara natychmiast włączył Piotra do swojej brygady, gdzie pracował przez cały okres swojego pobytu w Łucku do chwili repatriacji z rodziną w 1945 r. Włącznie, o czym dowiedzieliśmy się osobiście z opowiadania Piotra, po powrocie naszym do kraju i spotkaniu z Piotrem, naszym serdecznym przyjacielem, po upływie wielu długich lat naszego przebywania poza krajem, który

opowiedział o swoich kolejach losu. Wraz z rodziną przyjechał do Kraju i otrzymał za swoje uprawne pola i gospodarstwo na Wołyniu - rekompensatę na ziemiach odzyskanych w Koszalinie. Jemu zawdzięczamy odzyskanie wielu cennych pamiątek, które przywiózł do kraju i zwrócił nam po naszym powrocie w 1956 roku.

Tyle dygresji.

Niedługo mogliśmy mieszkać z Nusią spokojnie w zajmowanym u państwa Stańczyków pokoju. Pokój przez nas zajmowany został zarekwirowany przez wojskowych lotników, co w sytuacji przyfrontowej było zrozumiałe. "Mama" "nas" ulokowała w części pokoju przedzielonej kotarą i szafą. W drugiej części mieszkali państwo Stańczykowie, Helenka i p.Figa z maleństwem. Walki nie ustawały, front nieznacznie przesuwał się na zachód. Łuck wcześniej znajdował się w zasięgu artyleryjskich ostrzałów, nieustających nalotów i bombardowań. W poprzednio zajmowanym przez nas pokoju mieszkali lotnicy radzieccy, zdawali się być kulturalni, aczkolwiek przywłaszczali sobie drobiazgi - wówczas nie przywiązywałam do tego wagi.

Wieczory spędzałyśmy wspólnie z zaprzyjaźnionymi rodzinami - na rozmowach, ale ręce kobiet nie odpoczywały, bowiem w tych trudnych czasach potrzeba zmuszała do reperacji bielizny, garderoby, przerabiania, a więc prucia, szycia i cerowania. "Mama" krzątała się w kuchni. Wszyscy martwi^{li}śmy się szybko wyczerpującymi się zapasami spożywczymi, które ^{nie} było sposobu uzupełnić. Moje kontakty z życzliwymi mieszkańcami Kuczkówki ustały z powodu odległości i działań wojennych. Chwilami w gronie naszym zalegała cisza.

Każda z nas pozostawała ze swoimi myślami. Moje były chaotyczne i pełne niepokoju o Bolka i Brata, ^y jednego z naszej licznej rodziny pozostającego w niewoli w Gross ^{Rosen}, o wszystkich naszych wspaniałych rodakach z konspiracji walczących i rozproszonych po świecie, [losów nas wszystkich i wydarzeń dni najbliższych szczególnie w strefie przyfrontowej w jakiej znajdowaliśmy się.] Nasze zajęcia były przerywane ustawicznymi nalotami. Pozorny spokój panujący wśród nas tego wieczora, zalegająca cisza przerywana była jedynie naszymi westchnieniami. Wśród tej zalegającej chwilowo ciszy usłyszeliśmy dochodzące z kuchni gdzie znajdowała się "Mama", która niebawem ukazała się w drzwiach oznajmiając, że jakiś mężczyzna chce ze mną rozmawiać i czeka w kuchni. Błyskawicznie u mnie powstała myśl - może chce przekazać wiadomości od Bolka, wskoczyłam do kuchni - oczom uwierzyć nie mogłam, na środku kuchni stał Bolek z rozpostartymi do uścisku ramionami, On, mój, żywy, cały, ale jak bardzo zbiedzony, mizerny, wyszczuplały, zmęczony. Oczy podkrążone, rysy twarzy zaostrzone, ciemny od brudu i potu, zaróżnięty. Padliśmy sobie w objęcia, ale na krótko - by zadawać sobie w nieskończoność pytania chaotyczne. Gdzie zmierza? Dlaczego nie w mundurze? Na jak długo? Zanim doszło do sensownej rozmowy, wszystkie jak na komendę; Helena, Nusia z "Mamą" na czele przystąpiły do zorganizowania kąpieli i umożliwienia odzyskania wyglądu człowieka normalnego. Wierzchnie ubranie wyniosłam na taras dla ścisłego przeglądu na insekty, bieliznę z miejsca spaliłam.

Ogolił się, wykąpał, przywdział czystą bieliznę i odrazu inaczej się poczuł. Odzyskał inny wygląd. Opowiadaniom nie było końca. Zwolniony został z wojska na skutek wrzodowej choroby żołądka. Przecież z Łucka wyjeżdżał w bardzo ciężkim stanie. Jak opowiadał, od chwili naszego rozstania na stacji kolejowej w Łucku miał ciężką i długą drogę.

Mnóstwo transportów szło na wschód i zachód. Długie przymusowe postoje na stacjach, częste w polu z powodu silnych nalotów i bombardowań opóźniały jazdę. W Równem na stacji bardzo źle się poczuł. Wszedł z wagonu i stracił przytomność - runął na tory. Koledzy wnieśli go do wagonu - miał silne bóle i wymioty. Po odzyskaniu przytomności był niesłychanie osłabiony. W Kijowie na dość długo transport był zatrzymany - wychodzili do miasta, które przedstawiało żałosny widok, było całe w ruinach jak wszystkie miasta, przez które przejeżdżali. W Darnicy pod Kijowem przeżyli jedno z wielu bombardowań w drodze - szczególnie silne. Na horyzoncie ukazało się początkowo mnóstwo niemieckich bombowców następstwem czego było wycie przy wtórze silników i huk wybuchów spadających bomb. Maszynista pociągu wypełnionego po brzegi jadącymi z Łucka poborowymi - zaryzykował wyprowadzając z tego piekła pociąg - ruszając do przodu, by stanąć w polu poza zasięgiem bombardowania obiektów. W ten sposób chyba uratował ten transport, wszyscy z niego ocaleli, natomiast pozostałe transporty znajdujące się przy stacji kolejowej uległy zupełnemu rozbiciu, zniszczeniu, wiele^u było zabitych i rannych. W dalszej drodze, aż do Sum towarzyszyły^{im} (ścigały) naloty, nieustępliwie obrzucając bombami, ale ich transport szczęśliwie dojechał do miejsca przeznaczenia.

W Sumach zostali skoszarowani, stopniowo umundurowani. Nastąpiło pierwsze zetknięcie z Dowództwem I Armii Polskiej w Sumach. Początkowe wrażenia nie były najlepsze. Dowódcy i oficerowie niepoprawnie mówili po polsku, przez co zrodziła się odrazu wątpliwość co do narodowego charakteru tej Armii, zwłaszcza że między sobą porozumiewali się w języku rosyjskim. Umundorowanie różniło się wprawdzie od radzieckiego. Nasi chłopcy mieli rogatywki z piastowskimi orzełkami. Naszym poborowym, którzy przez parę dni obserwowali wnikliwie cały przebieg organizacji i formalności, nasuwało się mnóstwo pytań, choć pozornie wydawać się mogło, że wszystko jest zrozumiałe i proste. Na skutek ponownie zarządzanego badania poborowych przez Wojsk. Komend. Lek. zwolniono sześciu chorych żołnierzy z wojska, wśród których znalazł się Bolek. Zwolnionym wydano odpowiednie papiery z adnotacją, by udającym się do miejsca swojego zamieszkania wszystkie instancje wojskowe Władz Radzieckich udzieliły im daleko idącej pomocy. Boleka wyznaczono na kierownika grupy, nie biorąc pod uwagę, że zmierzali w różnych kierunkach. Początkowo wyjechali razem do Kijowa. Z Kijowa samochodem wojskowym dojechali do Szepetowki, a następnie każdy na swój sposób zmierzał w swoją stronę, przedostając się różnymi środkami lokomocji, furmankami, na dachach pociągu, samochodami i innymi dostępnymi w tej sytuacji środkami lokomocji. Wreszcie pozostało tylko dwóch, czyli Bolek i jeszcze jeden - zdążających mniej więcej w jednym kierunku - obydwaj chorzy, dla których wielkim wysiłkiem było wspiąć się na ciężarówkę - zwłaszcza że

kierwocy wojskowych ciężarówek mając swoje wytyczone zadania nie chętnie zatrzymywali się. Przeważnie zwalniali tylko nie zatrzymując się prawie, odjeżdżali. Trzeba było dobrej kondycji, żeby dostać się na platformę ciężarówki w nawet zwolnionym biegu. To też w drodze rozegrała się tragedia - jadący wóz ciężarowy wojskowy na dany znak zwolnił bieg na chwilę przystanął. Bolek zdążył dobiec, żołnierze siedzący na platformie wciągnęli go. Natomiast towarzyszący choć zdążył dobiec, chwycił za brzeg tylnej klapy, jednak samochód szarpnął do przodu tak silnie w tym momencie, że usiłujący pomóc mu z platformy - nie zdołali go utrzymać - spadł i pomimo nawoływań jadących na platformie zatrzymania się, stukanie do kabiny - kierowca nie zareagował. Przed zmianą kierunku jazdy samochodu zmierzającego w ^{inym} kierunku - Bolkowi udało się wysiąść. Znalazł się w ten sposób nad rzeką w pobliżu m. Ostroga. Ze względu na zapadający już zmrok przyspieszył kroki, kierując się do miasta by znaleźć się czym prędzej w miasteczku, mieć czas przed nocą na poszukanie noclegu. Na moście żołnierze radzieccy dopełnili obowiązek wylegitymowania. Jeszcze kilka kroków i znalazł się niebawem na ulicach Ostroga, zupełnie nieznanego obcego sobie miasteczka. Szukając zakwaterowania - wypoczynku i posiłku, zatrzymywał spotykanych mieszkańców, trafiał przeważnie na więźniów. Przechodnie zdradzali swoją niewierność i wzbudzali (Bolku ^{wzajemnie} ~~...~~). Wypytywali, skąd się tu znalazł i skąd wraca? Przejawiali zainteresowanie o swoich Wasyla ^{ch} czy Iwana ^{ch}, którzy jakoby mieli również być w Sumach. Spostrzegłszy niebawem na wzgórzu Święty ⁿⁱ, Bolek skierował swe kroki na Wzgórze. Po przekroczeniu progu plebanii okazało się, że proboszczem parafii katolickiej jest zakonnik ojciec Remigiusz Krauz, który po wyjaśnieniach

Bolka przedstawieniu się wzajemnym - zaofiarował się pomocą, zaproponował nocleg w godziwych warunkach.

Bolek nie wyobrażał sobie, w jaki sposób mógłby korzystać z czystej pościeli, którą wnet gościnnie szykowano będąc w tak urągającym najelementarniejszym zasadom higieny stanie.

Prosił o wydzielenie raczej jakiegoś kąta na wypoczynek na słomie, bez pościeli, ponieważ będąc długo w podróży jest brudny i nie uniknął insektów.

Ojciec Remigiusz okazał zrozumienie, nad wyraz wielką gościnność, przyjął serdecznie, stworzył warunki możliwości umycia się i dobrego wypoczynku.

W szczerzej pogawędce przy kolacji wyjawiał swój udział w pracy konspiracyjnej AK w czasie okupacji. Miał więc Bolek na kilka godzin zapewnione możliwe, komfortowe warunki i życzliwość zakonnika, zrozumienie i temat szczerych rozmów.

Nazajutrz po śniadaniu, serdecznych podziękowaniach za gościnę i pożegnaniu udał się w dalszą drogę do celu pokonując odległość różnymi sposobami. Nie było to łatwe ponieważ wszystkie środki, pociągi, pojazdy były podporządkowane wojsku, mające swe zadania i choć przepustka zobowiązywała do pomocy choremu nie zawsze była honorowana ze względu na brak miejsca, pośpiech i inne nieuzasadnione przyczyny. Duże odległości zmuszony był pokonywać pieszo. Przywiezione przez Bolka wiadomości o Czesławie - Mężu Figi były bardzo cenne dla rodziny Stańczyków. Wiele mieliśmy z Bolkiem sobie do powiedzenia, choć niewielka odległość czasu dzieliła nas od ostatniego rozstania.

W tych czasach każdy dzień wniósł coś nowego, zmienił sytuację, wniósł w życie zmiany, niepewność jutra.

Zaczęły do nas docierać wiadomości o aresztowaniach naszych znajomych, między innymi pani Jadwigi Baczyńskiej i jej dwóch synów.

Nie wyjawiam w rozmowach naszych swych obaw o naszą przyszłość, żeby nie siać niepewności, aczkolwiek Helenka i "mama" orientowały się dostatecznie dobrze w sytuacji, a także i Nusia.

Nie będąc żadna z nas w zмовie unikałyśmy przygnębiających nas rozmów. Świt budził nas smutkiem, po nocach niepokojem, niepewnością i przygnębieniem wzrastały.

"Mama" - cudowny człowiek stara się swoim usposobieniem, przekazać (cudowną) pogodę ducha, wlać otuchę.

Nasze pesymistyczne nastroje, które starałyśmy się ukrywać przed sobą, wpływały z własnej niemocy, z niemożności włączenia się do wspólnej walki czynnej z wrogiem, o której marzyliśmy w okresie konspiracyjnej pracy.

Nieufność władz rządzięckich skierowana przeciwko nam, a nawet przejawiająca bezpodstawne, wrogie nastawienie przygnębiały i już wtedy budziły obawy następstw znów tragicznych dla Polaków, pomyłek pociągających wiele ofiar.

W którymś z najbliższych dni po powrocie Bolka, podczas mojego urzędowania w apteko-bazie wezwał mnie do siebie na rozmowę mój szef, kierownik mgr Kuręrog. Szczerze w zaufaniu wyjawił mi o zainteresowaniach nami władz NKWD.

Od pewnego czasu, jeszcze przed przyjazdem Bolka zauważyłam częste wizyty funkcjonariuszy u Dyrektora, jak się okazało przejawiających zainteresowania moją osobą. Dyrektor, teraz w rozmowie ze mną sugerował zmianę miejsca zamieszkania.

Zdałam sobie nagle sprawę, że sytuacja komplikuje się. Nie było więc ani czasu, ani środków, ani warunków, żeby zająć się Bolkiem, podleczyć, odżywić.

Zrozumiałam już wówczas, że wytwarza się wokół nas atmosfera oczekiwania na coś nieuniknionego, co miało spaść na nas, zdecydować o naszym nieuniknionym losie.

Nie sposób było dalej biernie czekać, zwłaszcza że na Lotniczej robiło się również ciasno, wciąż ktoś nadchodził pod różnymi pozorami interesowano się nami. Zastanawialiśmy się, co przedsięwziąć w tych warunkach?

Nusia sugerowała wyjazd do Krzemieńca, sądząc, że mniej znani na tamtym terenie przy pomocy ludzi dobrze jej znanych, życzliwych znajdziemy spokój i pracę.

Zdecydowaliśmy się więc na wyjazd do Krzemieńca - terenu dobrze jej znanego. Nie mogłam w żaden sposób zrozumieć i pojąć o co chodzi? Dlaczego nas prześladowają? Miałam tu punkt oparcia o pracę.

Pracowałam w Łucku przed wojną, pracowaliśmy rzetelnie przy władzy radzieckiej. W czasie okupacji w ruchu oporu przeciwko hitlerowcom. Nie sposób było pojąć wówczas, o co chodziło.

Dopiero wszystkie następujące po sobie wydarzenia ze skojarzeniem polityki prowadzonej przed napaścią Hitlera na Związek Radziecki zawarty pakt Ribentrop - Mołotow - wyjaśniły wszystkie posunięcia i działania w stosunku do Polaków.

Helenka i Nusia nawiązały kontakt ze znajomym kierowcą ciężarówki, który jechał do Dubna i zgodził się nas zabrać za pewną umowną zapłatą. Nie mogliśmy dłużej pozostać na Lotniczej u przezacnej rodziny państwa Stańczyków, by nie narażać ^{tyk} bardzo dla nas życzliwych ludzi, skoro nami interesują się i deptają po piętach.

Przez całą okupację hitlerowską dom ich był narażony w walce z okupantem. Stało się i teraz bez żadnych powodów po tak zwanym wyzwoleniu potrzebą a raczej koniecznością opuszczenia tego ze wszechmiar zacnego domu.

"Ruda" zaproponował nam parę noclegów u siebie na Huidowie, z czego chętnie skorzystaliśmy. Nusia postanowiła razem z nami wyjechać, jakoś przyłgnęła do nas.

Do chwili wyjazdu z Łucka pozostała na Lotniczej u państwa Stańczyków. Bolek i ja wyszliśmy z Lotniczej 8 czerwca 1944 roku zabierając jedynie niezbędne rzeczy do plecaka: zmianę bielizny, jakieś swetry, drobiazgi, ręczniki, skarpety, pończochy i futra — pomimo sezonu letniego w przewidywaniu najgorszych okoliczności i sytuacji.

Czule pożegnaliśmy się z całą rodziną zaprzyjaźnioną z nami. Nie łączyło nas żadne pokrewieństwo, lecz coś głębszego — wspólne przeżycia, zrozumienie, walka z okupantem, uczucia, jakie rodzą się tylko w chwilach ciężkiej próby, gdy granica między wolnością a jej pozbawieniem i śmiercią lada chwila zatrzeć się może.

"Mama" i ja chwilę stałyśmy jeszcze po obu stronach furtki. Ta chwila została mi na zawsze w pamięci. Na pogodną uśmiechniętą twarz "Mamy" w pewnym momencie naszej kończącej się rozmowy — ujrzałam spadające po policzkach łzy.

Tkliwie dla wszystkich, współczujące serce być może przeczuwało, że się więcej nie spotkamy. To było istotnie nasze ostatnie pożegnanie. Ciężar doznań smutkiem kładł się na serce, niepokój o zdrowie Bolka, o los Nusi, młodej dziewczyny, i nas wszystkich umęczonych przez okupację i znowu ściganych, świadomych dziejącej się krzywdy i naszej bezsilności. W dodatku, jak mi się zdawało, ten bezsensowny może wyjazd pogrążał mnie w rozterkę i rozpacz.

Nie sprzeciwiałam się powziętej decyzji wyjazdu, żeby nie odbierać nadziei na szansę ewentualnej możliwości uniknięcia tego, co stało się rezultatem nieuniknionym.

U "Rudy" na Huidowie nocowaliśmy z Bolkiem dwie noce. Spaliśmy wszyscy na podłodze. Była to rodzina uciekinierów z wioski ocalałej cudem w czasie rzezi ukraińskiej, ratując się ucieczką przed bandami ukraińskimi w czasie okupacji hitlerowskiej. Mieszkali prymitywnie, byli rolnikami bez szansy powrotu do swoich gospodarstw na swojej własnej ziemi. Rodzina składała się z pięciu

osób: Ruda["] czyli Piotr, jego żona, dwie córeczki i teściowa. Wszyscy życzliwi i przyjaźni. Byłyśmy z Nusią umówione na wyjazd w dniu 2 maja 1944 roku na godzinę 7 rano. Spotkanie miało nastąpić przy ulicy Chrobrego w miejscu zamieszkania kierowcy-właściciela ciężarówki.

Z Hudy^o do umówionego punktu spotkania odległość wynosiła około 5 kilometrów. Czuliśmy się fatalnie. Wyruszyliśmy wcześniej żegnani przez "Rudego" po nocy nieprzespanej. Bolek miał swoje dolegliwości żołądkowe, a ja bóle graniczące z atakami kamicy żółciowej. Pogoda dość ciepła, wiosenna mogła nastrajać optymistycznie, gdyby nie fatalne samopoczucie. Po serdecznych pożegnaniach przyszedliśmy punktualnie z Piotrem. "Ruda" pomógł nam na ofiarowanym przez nas rowerze przewieźć nasze plecaki. Nusia przyszła w towarzystwie odprowadzającej^o Helenki. Jacyś nieznani ludzie i kierowca krzatali się na podwórzu. Odniosłam wrażenie, że byli to znajomi Nusi i "Rudy", uciekinierzy z wioski. Kierowca był zajęty jeszcze chwilę przy obsłudze wozu. Długo to nie trwało. Nastąpiła chwila czułego pożegnania z Helenką i Piotrem - jak się później okazało, na długie lata. Wzajemnie sobie pomagając weszliśmy na wysoką platformę ciężarówki - samochód ruszył. Odległość między nami i żegnającymi nas stawała się coraz większa, aż zniknęliśmy sobie z oczu. Dojeżdżając do skrzyżowania dróg Równe - Dubno poczułam charakterystyczne moim dolegliwościom kamicy żółciowej bóle potęgujące się przy każdym wstrząsie pojazdu. Ile to cierpień człowiek znieść potrafi. Mijaliśmy dobrze znane oklice. Nusia przemierzała te tereny w czasie okupacji w różnych porach roku, dnia i nocy. Ja jeździłam tą trasą przed wojną do Krzemieńca do syna będącego wówczas uczniem Liceum^{um.} T. Czackiego.

W drodze mijaliśmy oddziały wojskowe radzieckie. Zbliżając się do Dubna spojrzałam na usytuowany po prawej stronie szosy obiekt szpitalny zwany "Pantalia"

W 1936 roku po wyjeździe z Łucka mojego męża Bohdana Kulczyckiego i opuszczeniu przez niego rodziny, czyli mnie i syna, pracowałam w tym szpitalu w charakterze intendentki.

Dyrektorem szpitala był Balej, znany lekarz zarówno ze swej wiedzy medycznej, jak też z mnóstwa dziwactw.

Upośledzony kalectwem - garbus przypominający z opinii postaci "Kwasimodo" z książki "Notre Dame de Paris" - Hugo. Z upośledzenia szalenie nerwowy, nieopanowany i nieobliczalny.

Niedługo tam pracowałam i przykre pozostały z tego okresu wrażenia /tyle dygresji/

W Dubnie przy wjeździe do miasta kierowca nie chcąc narazić się na kontrolę kogo? dokąd? wiezie? poprosił nas o opuszczenie. Nusia zaprowadziła nas do swoich znajomych, państwa Fabiańskich, mieszkających w pobliżu szosy Krzemienieckiej, sympatyczna rodzina.

On też rolnik, ona przemiła pani domu.

Nie długo pozostawaliśmy w tym gościnnym domu. Człystowano śniadaniem, czas naglił, spieszyliśmy do Krzemieńca, żeby w jakiś sposób znaleźć się tam przed zmrokiem. Wyszliśmy więc na szosę, siedliśmy na obrzeżu drogi, jak autostopowicze, w oczekiwaniu na okazję. Dziś oceniając ówczesną sytuację trudno sobie wyobrazić, żeby nasze trzy sylwetki mogły ująć uwagę przy wielkim ruchu milicyjnym ^{ch} pojazdów-wojskowych funkcjonariuszy i enkawudzistów.

Toteż niebawem zatrzymał się przy nas Łazik, z wojskowymi wyższej rangi z propozycją zabrania nas do Krzemieńca, dokąd zmierzali. Nie mieliśmy zaufania, nie chcieliśmy wsiadać - podziękowaliśmy tłumacząc, że oczekujemy na inny pojazd. Tak postąpiliśmy, kiedy jeszcze mogliśmy sobą rozporządzać. Mając smutne doświadczenie i świadomość ściganych oceniając propozycje wydawały się podejrzane i nie wzbudzały zaufania.

Przez cały czas naszej podróży miałam przeświadczenie, że jesteśmy śledzeni, co zresztą potwierdzał bieg następujących po sobie wydarzeń. Słońce chyliło się już ku zachodowi, jakoś udało się nam zatrzymać jeden z wielu jadących wozów ciężarowych wiozących do Krzemieńca ziemniaki.

W ten sposób dostaliśmy się do celu. Miasteczko malownicze, tonące w zieleni, szczególnie uroczo wyglądało w ten jasny, wiosenny, pogodny dzień majowy.

Najwyższym wzhiesieniem górującym nad miastem jest Góra Bony z zabytkowymi ruinami zamku. Ważny to był ośrodek życia oświatowego i kulturalnego Polaków ze słynnym Liceum, uczelnia założona w 1805 roku przez T. Czackiego. Nauka trwała 10 lat. Zlikwidowana została po powstaniu 1831 roku, a wznowiono działalność w 1922 roku i czynne było do wybuchu wojny 1939 roku. Przypominały mi się strofy z poematu Olizarowskiej "Licealne mury Krzemienieckie z nadziejskim Usłicznieniem srebro płodząca Ikwa i pola krzemieni i lasy śpiewające i niebo promienne I ludzie tacy swoi tak w serce wsnowani."

Krzemieniec miał charakterystyczną zabudowę, wąskie, urocze uliczki, wawozy podobne jak Kazimierz nad Wisłą, był natchnieniem malarzy, a w zimie miejscem coraz bardziej rozwijających się sportów zimowych, szczególnie narciarskich z uwagi na sprzyjające faliste tereny, także sportu szybowcowego.

Miałam tam znajomych w okresie międzywojennym, więc i więzi towarzyskie ściągnęły mnie do Krzemieńca, jako też z tytułu pracy społecznej, zjazdy, konferencje, rzadziej narty bowiem na swoje osobiste przyjemności nie miałam nigdy czasu.

Od czasu wojny nikt z moich znajomych tu nie pozostał. W latach 1939-41 wiele wywiezionych zostało na wschód, pozostali w późniejszych latach okupacji znaleźli się w obozach.

Nusia znała dobrze te tereny. Mieszkała w pewnych okresach

z rodzicami w Krzemieńcu i Wiśniowcu.

W ostatnich latach podczas okupacji jako łączniczka dość często musiała pokonywać odległości, przemierzać tereny, docierać do miejsc kontaktowych, do placówek samoobrony, do mieszkańców, kolegów zaangażowanych w konspiracji, którzy podczas okupacji z zapałem i poświęceniem włączali się do walki z okupantem.

Teraz z łatwością zaprowadziła nas do Państwa Żółkiewskich, znanej od lat z zacności rodziny, którą z tytułu swej funkcji odwiedzała kontaktując się z Witoldem Żółkiewskim, synem pana domu, byłym właścicielem apteki przed wojną.

Wąską uliczką przez furtkę weszliśmy do pięknego, dużego ukwieconego sadu owocowego, wśród którego ukazał się naszym oczom urokliwy na wzór dworku szlacheckiego niewielki dom właścicieli.

Z ulgą spoczęliśmy w cieniu na ławce pod drzewami, zrzucając z siebie ciężar plecaków. Nusia weszła do mieszkania w celu rozeznania i porozmawiania o możliwości ewentualnego naszego skorzystania z noclegów, zorientowania się w możliwościach dalszego pobytu, względnie dalszych poszukiwań jakiejś dla nas przystani.

Dom robił wrażenie opuszczonego budynku. Okna były zasłonięte, żadnych przejawów życia nie zauważało się, aczkolwiek drzwi zdawały się być uchylone. Po dość przedłużającym się czasie, jak nam się zdawało, ukazała się na ganku Nusia, a tuż za nią starszy pan o siwych, bielutkich włosach z wąsami w typie polskiego szlachcica. Podeszli do nas - Nusia przedstawiła nas p. Żółkiewskiemu. Zostaliśmy zaproszeni do wnętrza i wprowadzeni do dużego pokoju. Pan Żółkiewski czyniąc honory domu z powagą, w skupieniu, w którym wyrażały się głęboki smutek i przygnębienie w każdym ruchu, hamowany niepokój połączony z zakłopotaniem.

Nusia w streszczeniu poinformowała nas o zaistniałej bardzo złożonej sytuacji w tej rodzinie, na którą trafiliśmy.

Otóż Pani Żółkiewska jest obłożnie chora na serce. Przed paru dniami została aresztowana jedna z dwu córek bliźniąt - Wanda, z wykształcenia farmaceutka. Nie znając na razie powodów aresztowania są bardzo zdenerwowani wszyscy. Rzecz miała się następująco. Wanda pojechała do Lwowa w celu zaopatrzenia w artykuły spożywcze.

Wędrowki takie w owych trudnych czasach wojennych nie były nowością. We Lwowie zatrzymała się u znajomych. Poznała tam mężczyznę, który dowiedziawszy się w rozmowie, że jest z Krzemieńca i wraca nazajutrz, prosił o zabranie i doręczenie przy okazji pod wskazany adres w Krzemieńcu paczkę.

Nie podejrzewając nic, pomimo że zawartości paczki nie znała - zgodziła się. Ponieważ były to tereny przyfrontowe, przeważnie kursowały pociągi wojskowe, często były przeprowadzane rewizje u podróżujących osób cywilnych. Wanda w drodze powrotnej nie uniknęła swego złego losu.

Przy rewizji znaleziono w przewożonej przez nią paczce kompromitujące papiery faszystowskiej organizacji ukraińskiej. W ten sposób za niepopelnione winy została aresztowana, przewieziona i osadzona w Krzemieńcu i oskarżona o szpiegostwo.

Druga córka, Bronisława, chwilowo była nieobecna w domu. Syn Witold pracował w miejscowej elektrowni. Nie zainicjowaliśmy przedtem tej rodziny osobiście. Z Krzemieńcem w czasie okupacji mieliśmy kontakty za pośrednictwem łącznika z konspiracji w ruchu oporu z Witoldem Żółkiewskim, ^{Michałem} Wiszniowskim i Z. Turskim, którzy należeli i organizacyjnie podlegali II Ins. W ODR AK.

Tak więc zostaliśmy w Krzemieńcu w sytuacji bardzo przygnębiającą i niepewną, czyli wpadliśmy w chwili najmniej odpowiedniej dla pp Żółkiewskich, a tym samym dla nas.

Nie było możliwości porozumienia się Nusi z Krzemieńcem. Przez cały czas naszej wędrówki w tym dniu nie miałam żadnej wątpliwości kojarząc okoliczności towarzyszące, że byliśmy obserwowani.

Obręcz wokół nas zacieśniała się i chyba bez żadnej szansy. Analizowałam logicznie po kolei wszystkie wydarzenia towarzyszące nam od ostatnich tygodni. Chwilami chciałam uspokoić siebie, ale w konkluzji nie było złudzeń. Zdrowy rozsądek obserwacji własnej i oceny sytuacji potwierdziły się moje pesymistyczne przewidywania.

Niebawem zjawił się Pan Witold, wpadł do domu przed dyżurem nocnym, jaki miał pełnić, mieliśmy okazję poznać go osobiście. Został zaskoczony jeszcze bardziej skomplikowaną sytuacją. W domu z powodu naszego przybycia, rzeczowa rozmowa Pana Witolda z Bolkiem z jednej strony, naświetlająca zaistniałą w rodzinie p.p. Żółkiewskich tak niezwykle dramatyczną sytuację i nasze może niezbyt przemyślane decyzje. Pełne życzliwości ustosunkowanie się Pana Witolda do nas, chęć przyjscia z pomocą wruszyły nas.

Doszliśmy wszyscy zgodnie do wspólnego wniosku, że czym prędzej

należy zmienić miejsce pobytu,

opuszczać nie komplikując p.p. Żółkiewskim i tak trudnego położenia namu obecności

Pan Witold zapewnił, że natychmiast porozmawia z pełniącym obowiązki Dyrektorem Elektrowni, byłym przedstawicielem w ODR w ruchu oporu na powiat Krzemieniec, z którym na codzień kontaktuje się w elektrowni (jest jego podwładnym). Wspólnie, ma nadzieję, znajdą jakieś rozwiązanie. Postanowił jak najszybciej działać w tym kierunku. Obiecał wpaść na rowerze i pomóc w zmianie miejsca naszego pobytu. Wsiadł na rower z obiecującym słowem "Do zobaczenia" i odjechał. Wieczór wiosenny po zachodzie słońca szybko przesłonił mrokiem i tak dość ponury pokój. Znalazła się na stole świeca zapalona. Pan domu zakrzętnął się przy posiłku dla nas.

Pamiętam wspaniały smak zsiadłego mleka na spieczonych, zeszlých ustach ze zdenerwowania. Spożywaliśmy posiłek w pokoju w towarzystwie

chorej pani Żółkiewskiej. Byliśmy wszyscy przygnębieni, rozmowa nie kleiła się.

Oczekiwany Pan Witold przez nas i rodzinę, która niewątpliwie w tak niekorzystnym splocie wydarzeń wolałaby nas nie mieć w domu - nie wracał.

Czułam w sobie pomimo wielkiego zmęczenia wzrastający wielki niepokój i lęk o los Bolka i Nusi.

W pewnej chwili doszły do nas z zewnątrz z podwórza jakieś odgłosy i nawoływania i silnik samochodu, lub motocykla.

Spoglądaliśmy na siebie wszyscy zatrwożeni - rozmowy ustały. Nikt z nas nie miał odwagi przemówić, okna były zamknięte na głucho okiennicami z zewnątrz. Nie mogliśmy niczego dostrzec. Stopniowo wszystko ucichło. Przeszliśmy do przeznaczonego dla nas na nocleg pokoju, ponieważ Pan Witold w dalszym ciągu nie zjawiał się. Choć pora i zmęczenie skłaniały do wypoczynku, nie mogliśmy zdecydować się na ułożenie do snu, wciąż jeszcze oczekując.

Była już godzina 23⁰⁰. Nusia bardziej swobodnie czując się w od dawna znanym sobie domu pp Żółkiewskich zadbała o wodę do mycia. Myliśmy się po kolei, zwlekając nadal z ułożeniem się do snu.

Rozmawiałyśmy z Nusią szeptem - sugerowałam jej, znającej dobrze teren, koncepcję odłączenia się od nas, ponieważ byłam już pełna przeczuć naszego złego losu, przewidywanego wprawdzie nie w tak dramatycznych rozmiarach i rażącej niesprawiedliwości.

Spoglądałam na Bolka, najbliższą dla mnie, najukochańszą Istotę, na jego zmęczone oblicze, ceniąc postanowienia i zachowanie, na Nusię, młode dziewczę, która narażona jest na tak trudne sytuacje i przeżywa w dalszym ciągu po przeżyciach okupacyjnych. Winą jej jedyną jest ofiarność i miłość Ojczyzny ponad miłość i ciepło domu rodzinnego.

Rozmyślałam nad naszą rzeczywistością, naszym dramatem narodowym, zmęczonym społeczeństwem, ofiarach wojny i okupacji, zawiedzionymi

nadziejami odzyskania niepodległości, przez czynne i aktywne włączanie się do walki z okupantem, zwycięskiego zakończenia wojny i włączenia się do odbudowy kraju.

Kojarząc myśli aktualne z retrospekcjami z lat dzieciństwa - tragicznych wydarzeń mojej rodziny z I wojny ... zadawałam sobie pytanie, czy nie za wiele znów narasta wokół mnie dramatów, gromadzenia się przeżyć na życie jednego pokolenia.

Nusię, wtuloną w kanapę, zmęczoną podróżą, oszołomiona niezwykłą sytuacją, naszą również, zapewne nawieźały pesymistyczne myśli ... pomimo to na moje sugestie odpowiedziała stanowczo, że nie przedsięweźmie żadnych kroków indywidualnych - nie czuje się winną w niczym wobec Związku Radzieckiego i cokolwiek nas spotka złego, będzie niesprawiedliwe, ale będzie naszym wspólnym udziałem i losem, który razem z nami dzielić gotowa.

Podtrzymujący zazwyczaj wszystkich na duchu Bolek stał się małomówny, potrzebował wypoczynku i snu, był zmęczony, zdenerwowany sytuacją, ponadto chory.

Z nadmiaru wrażeń doznała^{am} zmęczenia i niepewności jutra - przeżywałam dzień miniony z wielką intensywnością. Słuch wycł^uony złudnym wyczekiwaniem na Pana Witolda wciąż łowił każdy szmer, a myśli chaotyczne nie dawały spokoju.

Nie miałam zrozumienia, dlaczego władzy radzieckiej zależało na niszczeniu polskiego podziemia walczącego z okupantem hitlerowskim - naszym wspólnym wrogiem?

Nas do Związku Radzieckiego cechowała nieufność, nie jak usiłowano w nas wmówić - wrogość i nienawiść, która, gdyby istniała, mogłaby być nawet uzasadniona niesprawiedliwością spowodowaną wrogim nastawieniem i postępującego niszczenia nas, o czym świadczyły następstwa i skutki zawartego paktu pomiędzy Związkiem Radzieckim a hitlerowskimi Niemcami w 1939 roku. Ribentrop - Mołotow.

Były wyrazem wspólnego w tym kierunku działania obu umawiających się stron, co zmuszało nas wówczas do ^zzaku równania tak istotnie dobranych partnerów.

Należę do tej rzeszy ludzi, którzy byli świadkami działalności zarówno Związku Radzieckiego jak i hitlerowskich Niemców zmierzających konsekwentnie do zniszczenia narodu polskiego w okresie II wojny. Ileż to Polaków z całymi rodzinami i dziećmi niemowlętami i starcami wywożono w wyjątkowo mroźną zimę 1939-40 roku całymi pociągami z ziem wschodnich na poniewierkę.

Wielu zginęło w drodze z głodu, chłodu, chorób w Kazachstanie i na Syberii. Rozdzielano rodziny, odbierano matkom dzieci, dzieciom rodziców. To wszystko działo się na moich oczach i sama teraz nadal doświadczam prześladowań na sobie i bliskich.

Dlaczego teraz jeszcze po napaści Hitlera na Związek Radziecki stając się rzekomo lub na pozór sprzymierzeńcem i sojusznikiem mając wspólnego wroga - nas pozostałych przy życiu cudem, ocalałych, umęczonych długoletnią okupacją niszczą bez dania racji.

Wszak z nadejściem Armii Radzieckiej zadania nasze skończyły się. Mieliśmy rozkaz ostatni Rządu RPKGr.AK z 27.10.1943r. i 20.11.1943r. zaprzestania wszelkiej działalności ruchu oporu, ustosunkowania się do Armii Radzieckiej, jak do sojusznika i taką postawę przyjęliśmy.

Obecny więc nasz stan psychiczny, walka wewnętrzna jest stokroć cięższa od walki czynnej.

Zdajemy egzamin z subordynacji i siły woli. Chodziły jeszcze zorganizowane oddziały żołnierzy - pomimo to ani jeden strzał ^{na Wołyniu} nie padł ze strony AK w kierunku Armii Czerwonej, w obronie własnej nawet!

Dziś gdy piszę te wspomnienia, sięgam do tych lat pamięcią, przeżywam. Zdaję sobie sprawę ze swej naiwności wówczas, jak mało byłam politycznie uświadomiona. Nie potrafiłam spojrzeć szerzej, ocenić sytuację, dostrzec dążenie i daleko idące plany zabrania

i podporządkowania sobie naszego kraju.

W ~~tem~~ celu właśnie deportowano Polaków, pozbawiając w ten sposób możliwości uczestniczenia patriotów walczących w podziemiu z okupantem w ostatecznej rozprawie z hitleryzmem skazując na wiele lat wyjętych przemocą z życia, na zmarnowane lata i zdrowie.

My mieliśmy jeden najprawdziwszy cel, święty obowiązek dążenia za cenę życia - odzyskania niepodległości naszej umęczonej, zniszczonej ojczyzny. Następnym dążeniem naszym jest udział w jej odbudowie, praca dla niej w ustrój demokracji rozwojowej, socjalistycznej - sprawiedliwej dla wszystkich obywateli kraju dążąc rzetelną pracą do rozwoju i dobrobytu narodu. Od tych myśli frapujących sen ulatał

Nie było nam sędzone w tym domu przespać ani jednej nocy. Nie zdążyłam po umyciu nóg - wytrzeć ^{ich}, usłyszeliśmy na zewnątrz drzwi do ganku głośne rozmowy, następnie natarczywe stukanie do drzwi. Nusia otworzyła, wtargnęło do pokoju kilku wojskowych, rzucając się do każdego z nas z zapytaniem w sposób natarczywy "Ty kto taka" żądając dokumenty. Wskazując na Bolka pytają mnie, kto on w stosunku do ciebie, mówię mąż. Z kolei zapytują męża, kto ja jestem - powiada : żona.

Długo badają Bolka, dokumenty - wreszcie z okrzykiem "ach to ty" ze stekiem obelg znanych w języku rosyjskim powiada jesteś Haber - Kliczka "Mateusz" - ciebie od dawna poszukujemy ... Każą nam ubierać się.

Zbudzeni hałasem właściciele stojąc w drzwiach nieśmiało z przerażeniem spoglądali na rozgrywającą się w pokoju scenę. Spakowaliśmy walizki i plecaki, w pośpiechu pożegnaliśmy się z p.p. Żółkiewskimi i jego córką, która weszła do pokoju w momencie naszego odejścia, a raczej wyprowadzenia nas z mieszkania.

Wsadzono nas do "Łazika" kazali nam usiąść na tylnych siedzeniach - Bolkowi w środku, mnie po jego lewej stronie

Nusi po prawej.

Uprzedzono przy tym, że przy próbie ucieczki będą strzelać.

Wiozło nas dwóch wojskowych, nie wiem jakiej rangi. Jeden za kierowcą, drugi siedział przy nas. Pozostali wsiedli do drugiego pojazdu. Trudno było zebrać myśli. Szok przeżywa się okropny.

W ustach zasycha, w głowie myśli różne, a jednak przywołują z pamięci fakt posiadania kilku dolarów zaszytych w rękawie płaszcza, w mankiecie - jakiś drobne pozostałości z funduszy pozostały.

Szybki refleks - niepostrzeżenie wypruwam, wyciągam i wyrzucam na zewnątrz, z myślą, że może podniesie ktoś potrzebujący. Będzie to ostatni zasiłek z pomocy społecznej inspektoratu. Nam już na nic się nie przydadzą - będziemy teraz mieli całkowite utrzymanie. ...

Niebawem "Łazik" zatrzymał się przed piętrowym budynkiem.

Wprowadzono nas do obszernego pokoju, w którym znajdowało się kilka biurek, krzesła, szafy, między nimi kręcili się funkcjonariusze NKWD. Idąc przez korytarz - słyszeliśmy głosy dobiegające z mijanego pokoju na przemian męski i kobiecy. Chwilami był donośny, jak groźby, inny kobiecy, cichy, jakby usprawiedliwiający się.

Nusia w głosie tym rozpoznała Wandę, córkę ppłk. Żółkiewskich.

W pokoju usiedliśmy na swoich plecakach. Po pewnym czasie wprowadzono do pokoju kilka osób obojga płci.

Niektórzy z nich byli znajomymi Nusi, świadczyły o tym wymowne choć ukrywane wyrazy twarzy, spojrzenia obustronne, obojętnością przesłonięte. Nie zezwalano na żadne rozmowy. Przed świtem pokój zapełnił się całkowicie nieznanymi nam osobami. Pomimo to widzieliśmy w nich swoich bliskich. W szlachetnych twarzach odbijało się zmęczenie i przygnębienie. Pana Witolda nie było. Jeszcze przed świtem rozdzielono nas. Odprowadzano każdego z osobna. Nusię, Bolka i mnie wprowadzono do pustego obszernego pokoju, pozwolono położyć się na podłodze. Pościeliliśmy swoje ubrania i ułożyliśmy się.

Wiedzieliśmy, że są to nasze ostatnie wspólne chwile, że będziemy rozdzieleni. Na jak długo i co nas wogóle czeka.

Los nasz całkowicie nie był od nas zależny. Przytuliłam się w serdecznym uścisku do Bolka - Nusia do mnie.

Trwaliśmy w ramionach swoich w bezruchu, trwałym, nie mogąc wydobyć słów wzajemnego pocieszenia dla siebie.

W jednym jednomyślni - w wierności ideałom uczuć swoich - niezłomnej swej postawie. Niedługo czuliśmy ciepło swych serc, spłotu rąk, niedługo trwały nasze rozmyślenia - drzemki- półświadomość.

Wszedł funkcjonariusz, kazał Bolkowi podnieść się. Nastąpił więc czas pożegnania i długich naszych rozstań.

Jest to moje drugie z Bolkiem rozstanie. Pierwsze było w marcu - kiedy wyjeżdżał do wojska, było trudne.

Teraz stokroć cięższe nie do zniesienia prawie. Krótkie uściski, życzenie męstwa na miarę •czekujących nas przewidywanych przeżyć.

Zniecierpliwiony strażnik dał rozkaz Bolkowi iść przed sobą - wyprowadził go z pokoju. Pozostałyśmy z Nusią w pokoju. Nie na długo, niebawem zaprowadzono nas obie do pustej wilgotnej piwnicy, brudnej z niewielkim otworem na 3 cegły w ścianie, przez który dostawało się światło•dienne pozwalające rozróżnić sylwetki, a po oswojeniu się z mrokiem i rozejrzeniu się zdołałyśmy zauważyć przez otwór fragment ulicy od strony fasady domu. Penetrując dalej pomieszczenie zauważyłyśmy na drzwiach wejściowych do piwnicy u góry szybę. Stojąc zaś na kłance i unosząc się do góry można zobaczyć przez wprawioną nad drzwiami szybę część pierwszego korytarza, przez który nas wprowadzono i oświetlone przez snop światła z otwartych drzwi na podwórze na zapleczu budynku - kilka stopni schodów. W rogu tuż przy drzwiach, leżała jakaś brudna butelka. Podłoga w piwnicy była cementowa. Był również w pobliżu drzwi zlew, nad którym kranu nie było. Na przeciwległej ścianie unosząc się na palcach mogłyśmy przez niewielki otwór /już wspomniany/ obserwować ruch na ulicy przed budynkiem.

Na tym odcinku ulicy panował ustawiczny ruch. Podjeżdżały samochody różnego rodzaju, osobowe, łaziki i ciężarowe. Przywozili ludzi, odwozili, prowadzili pod eskortą. Rodziny aresztowanych wystawały od rana po przeciwległej stronie ulicy. Z koszykami napełnionymi żywnością, pragnąc przekazać pożywienie dla swoich bliskich. My nie miałyśmy w Krzemieńcu nikogo, to też nie spodziewałyśmy się żadnej pomocy.

Nasi "dobroczyńcy" nie byli zaś przygotowani na żywienie swoich pensjonariuszy!

Do programu ich działania napewno należało stosowanie ścisłej diety. Ja osobiście nie otrząsnęłam się na tyle z wrażeń, żebym mogła myśleć o jedzeniu. Organizm nie domagał się pożywienia - jedynie pragnienie dokuczało. W ciągu dnia jakaś kobieta zamiatała w piwnicy. Postukałyśmy do drzwi - prosiłyśmy wody do picia - podała nam pocziwina - widocznie dostała klucz, ale natychmiast nadszedł ktoś kogo nie widziałyśmy i zamknął nas znowu na klucz.

Kiedy zaczynał się ruch na korytarzu piwnicy, wspięłyśmy się na drzwi, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Przez wąską szybę widziałyśmy wyprowadzanych mężczyzn. Obserwowałyśmy, czy wśród nich jest Bolek lub inni znajomi Nusi. Wspiąć mogłyśmy się tylko pojedynczo.

Jedna musiała podtrzymywać drugą. Nusia widziała Bolka i poznała Michała Wiszniowskiego. Na trzeci dzień naszego pobytu w piwnicy /nikt nie interesował się nami dotychczas/ jakiś młody człowiek w zwykłym roboczym ubraniu, jak mniemałyśmy będący w służbie pomocniczej w tej instytucji, otworzył drzwi i dał nam w menażce trochę zupy. Mówił po polsku. Powiedział, że Bolek przeszyła, okazało się, że nie otrzymując żadnych posiłków, podobnie jak my zwrócił się do dyżurnego w korytarzu piwnicznym - prawdopodobnie Ukrainca, żeby ten przekazał którejś z miejscowych polskich rodzin, że znajdujemy się tu, a jesteśmy z Łucka, w Krzemieńcu obcy, nikogo nie mamy z bliskich, nie ma kto nam dostarczyć pożywienia, a tu nie karmią.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że Bolek znajduje się tu w pobliżu. i stara się w jakiś sposób o posiłek dla nas.

W tym samym dniu wpuszczono do naszej piwnicy - celi dwie niewiasty. Bronisławę, ^{Zółkiewską} którą poznałyśmy w dniu naszego aresztowania /jedną z bliźniaczych sióstr przedtem aresztowaną) i Irenę ^{Samolecką} córkę wychowawczyni internatu Liceum w Krzemieńcu.

Nusia dobrze znała obie panie, miały więc wspólne tematy.

Ja zaś miałam okazję ~~zapoznać~~ w tej niezwyklej scenerii córkę wychowawczyni mojego syna.

Irena zrobiła miłe wrażenie, zwłaszcza przy bliższym naszym niezwyklej obcowaniu, dała się poznać jako niewiasta młoda ze wszechmiar inteligentna, interesująca, wartościowa postać. Miała zupełnie krótko strzyżone włosy, poddyktowane koniecznością z powodu przebytego niedawno tyfusu.

Z prowadzonych z nią rozmów można było wywnioskować ponad przeciętny poziom naukowy. Cechowała ją pobożność, modliła się długo i żarliwie, a że był to okres majowych nabożeństw, wszystkie dołączyliśmy czując ulgę, szukając i ufając pomocy w opatrności Bożej.

Od Bronki dowiedzieliśmy się, że przed jej aresztowaniem w następnym dniu po nas Pan Witold nie powrócił do domu, być może jest tu w tym budynku. Bronka i Irena otrzymywały paczki z domu - raczej posiłki obiadowe /dzieliły się z nami/.

Matkę Ireny często widywaliśmy przez otwór stojącą po przeciwległej stronie ulicy z koszykiem przed budynkiem naszego więzienia. Z braku papieru pakowała wiktuały i posiłki w kartki wyrwane z żurnala mód. Irena sprytnie to wykorzystywała, zwracając naczynia w opakowaniu matce. Na każdym rysunku modeli sylwetek z żurnala pisała imiona nasze.

W ten sposób matka Ireny odbierająca koszyk mogła się zorientować, ile nas jest i odpowiednio w miarę swoich możliwości i pomocy społeczeństwa polskiego zwiększała dla nas posiłki.

Jak mogliśmy się przekonać, społeczeństwo było bardzo solidarne i ofiarne w Krzemieńcu, zwłaszcza, że czasy były maksymalnie trudne, przednówek, front, wojna, okres poprzedzony grabieżami okupanta.

Wszelkie więc zapasy były na wyczerpaniu. Nadal systematycznie śledziłyśmy każdy ruch przez otwór na ulicę i przez okienko nad drzwiami - kogo z mężczyzn wyprowadzali na podwórze.

Panie rozpoznały znanych sobie obywateli Krzemieńca, znajomych Polaków, również Ukraińców, w związku zapewne ze znalezieniem u Wandy bibułki ukraińskiej. W dalszym ciągu żadna z naszych współ-uwieczonych nie dostrzegła Pana Witolda wśród wyprowadzanych mężczyzn. Uwięzione w piwnicy, izolowane od biegu spraw codziennych, wydarzeń, sięgałyśmy w swych rozmowach do historii naszego kraju i narodu odwiecznie ucimionego.

Irenę często wzywano na przesłuchania, wracała milcząca, skłupiona, nie dzieliła się z nami wrażeniami. Modliła się gorliwie, czasem płakała. Nie wypytywałyśmy o nic uważając i ufając, że słusznie czyni.

Czasem deklamowałyśmy z zakodowanych w pamięci wierszy patriotycznych - urywki "Z obrony Ojczyzny" "Dziadów" Mickiewicza, Słowackiego i innych. Śpiewałyśmy półgłosem nucąc "Hymn licealny", układałyśmy wspólnie wiersze. Osoby przynoszące pożywienie swoim bliskim uwięzionym, spotykały się przed budynkiem - rozmawiały ze sobą. W ten sposób orientowały się prawdopodobnie, kto się w tym przybytku znajduje. Obserwowałyśmy przez szparę wszelkie ruchy na ulicy.

Nas trzy - poza Ireną - nie wzywano, wyprowadzano tylko z konieczności 2 x dziennie na parę minut.

Człowiek odsunięty od społeczeństwa, uwięziony, pozbawiony wszelkich wrażeń, będący pod presją, staje się wyczulony na każdy szmer, dźwięk, odgłosy z zewnątrz. W ciemności jedynie przez niewielki otwór mogliśmy widzieć niewielki fragment chodnika, cząstkę jezdni ulicy zalane słońcem.

Ściany grube - głowy wychylić przez otwór nie było sposobu. Pozostawałyśmy w ustawicznym mroku. Nie miałyśmy przy sobie zegarków, odebrano nam przy rewizji, jak również plecaki z całą zawartością niezbędnych przedmiotów. Dźwięczne dzwony kościelne na Anioł Pański oznajmiały nam czas.

W jednym ze słonecznych dni po południu nagle odezwały się kryształowym odgłosem, donośnym na całą okolicę - dzwony kościelne ze wszystkich świątyń. Długo nie milkły, docierały do naszej celi piwnicznej. Żadna z nas nie mogła odgadnąć, z jakiej przyczyny o tej porze dnia, w dniu powszednim, rozbrzmiewają tak długo.

Postanowiłyśmy spytać krzątającą się zazwyczaj na korytarzu opatrzościową sprzątaczkę szeptem przytulając się do drzwi, żebyśmy mogły lepiej usłyszeć, powiedziała, że dziś pogrzeb pani Żólkiewskiej.

W ten sposób Bronka dowiedziała się o śmierci swojej matki. Nie wytrzymało zranione trzema ciosami serce Matki - umilkło na zawsze.

Bronka płakała, szlochała, chodziła, miotała się jak ptak zraniony, w klatce - modliła się. W dramatycznej sytuacji zabrakło nam słów pocieszenia - nie byłyśmy w stanie jej uspokoić. Na skutek zapewne wstrząsów od bombardowania w czasie walk przyfrontowych, jak zauważyłyśmy przed południami - z sufitu piwnicy odpadał gruby tynk, obnażając w niektórych miejscach belki, na których opierała się podłoga pokoju na parterze - usytuowanego nad piwnicą naszą - w którym nocą zaczynały się odbywać brutalne przesłuchania uwięzionych mężczyzn.

To były noce nie do zniesienia, jedne z wielu najcięższych moich doznań, bowiem wiedziałam, że niewątpliwie między nimi znajdzie się Bolek. Mocny duchem - odporny psychicznie, ale czy przetrzyma tortury.

Jest chory, słaby fizycznie. Nadal nie byliśmy przesłuchiwanym, ani ja ani też Nusia, rzadziej wprawdzie wzywano Irenę. Bronisławę zabrano od nas na trzeci dzień od śmierci matki. Nie mając kalendarza - dnie liczyliśmy od dnia aresztowania nas tj. 9.05.1944 roku, a że nie mogliśmy zapisywać, często modliliśmy się. Czas leniwie upływał na rozmowach, nadsluchiwanie, modlitwie, obserwowaniu przez otwór odcinka ulicy, przez szybkę nad drzwiami części piwnicy i schodów prowadzących na podwórze, na rozmyślaniach.

W którymś z tych ponurych dni o zmierzchu usłyszałyśmy z ulicy dochodzące odgłosy, tupot butów, przyspieszony jak gdyby w biegu, jakieś zamieszanie, padły strzały. Dopadłam do otworu na ulicę, by zobaczyć, co też tam się dzieje, skąd odgłosy dochodziły. Ujrzałam dwóch funkcjonariuszy wojskowych wlokących mężczyznę za ramiona. Twarzy nie widziałam, głowę miał w dół opuszczoną.

Odniosłam wrażenie że był ranny - jęczał ...
Dociekliwość moja niczego nie wyjaśniła, mogłam tylko snuć domysły, może uciekał i został postrzelony?

Ten wstrząsający widok, a także późniejsze nocne przesłuchania na parterze, słyszane przez sklepienie pozbawione tynku - towarzyszące temu krzyki, tumult, wrzaski, utwierdziły w przekonaniu nas o metodach stosowanych, nie odbiegających od metod okupanta.

Myślałam o naszym losie, o cierpieniu bez winy, o umęczonych przez lata okupacji i dziś nie mających spokoju narażonych na tortury - metody, które odbiegają daleko od elementarnych zasad sprawiedliwości, zmuszających co słabszych do przyznania się do czynów niepopołnionych, sugerując i narzucając nieprawdopodobne sprawy, o których obwinionym nie śniło się, a które w czasie śledztwa są przypisywane, żeby wytoczyć sprawę, zasądzić, moralnie zniszczyć -
- żeby w myśl układu -

dwustronnego zawartego z okupantem. Myślałam wtedy, skąd ta obłuda polityczna, uzurpowanie sobie prawa sojuszników, oswobodzicieli, skoro do nas, walczących przeciwko okupantowi, kierują swe prześladowanie. Przecież to jeszcze kontynuacja traktatu zawartego z Niemcami w roku 1939 - treścią którego między innymi było wspólne dławienie wszelkiej działalności i ruchu wymierzonego przeciwko jednej ze stron, w tym przypadku naszej dotychczasowej skierowanej przeciwko okupantowi hitlerowskiemu, bo przecież żadnej innej nie przejawialiśmy, jeśli chodzi o Związek Radziecki ustosunkowaliśmy się jak do sojusznika, przecież z nim szła nasza I Armia .

Moje dręczące rozmyślenia, napięcie nerwowe osiągnęły szczyt. Zwątpienie we wszystko opanowała zupełnie. Rozbiłam leżącą w rogu za drzwiami butelkę - przecięłam sobie żyły. Chciałam uciec od życia, skończyć, nic nie słyszeć, nie czuć, nie widzieć i na nic nie czekać - na śmierć i Mękę żadną. Zczeznąć ze świata pełnego zła i okrucieństw, z tej jatki światowej, jaką będzie wzajemnie i z premedytacją zgotowana przez ludzi i narody walka w celu wyniszczenia się. Zbyt duży był we mnie ładunek tych habrzmiałych osobistych przeżyć z dziedzictwa mojego, który dotknął moją tragiczną rodzinę. Dwóch braci zostało zamordowanych za udział w POW 1919 r. W tym samym czasie zginął trzeci w walce o wyzwolenie ojczyzny. Ileż zginęło w czasie okupacji w powstaniu Warszawskim.

Kraj nasz jak omentarzysko, aż trudno pomyśleć, że taka garstka ocalałych cudem młodych jest prześladowana znowu bez końca przez tak zwanych wyzwolicieli, dlaczego? za co?

Z wielkim bólem serca myślałam o losie Bolka, Nusi, tysiący cierpiących, których, zdawało mi się, wciąż męki, upokorzenia, krzyki słyszę, ani zapobiec, ani pomóc nie byłam w stanie, przez co życie moje straciło i wolność i sens swojego istnienia.

Krew początkowo silnie z żyły przeciętej sączyła, potem krzepła.

Słabłam, słałam swoje myśli do Bolka, błagałam o wybaczenie mi zwątpienia i braku odwagi. Ucieczka od życia powstaje ze zwątpienia, ale chyba wymaga odwagi.

Czekałam na odejście, na spokój duszy mej, który nie następował. Nie traciłam świadomości, byłam osłabiona, ale przytomna.

W ocenie swojego czynu dostrzegłam egoizm, czyn niegodny. Jak mogłam w chwilach życia niesłychanie trudnych - pogłębić przeżywanie Bolkowi dramatycznych wydarzeń. Chwilami robiło mi się słabo, ciemno w oczach, słyszałam szum w uszach, jak gdyby lanie się z kranu wody.

Nusia była przy mnie, coś do mnie mówiła - nie słyszałam wyrazów, raczej czułam jej obecność przy mnie.

Krew moja okazała się bardzo krzepliwa i choć wiele jej straciłam, zostało jeszcze wystarczająco do życia. Nie udała mi się ucieczka od życia, od siebie, a tak bardzo chciałam rozprawić się ze swoim istnieniem. Zdawało mi się, że mam prawo sama decydować o swoim istnieniu, że mam prawo wyboru.

Nusia robiła mi opatrunki. Miałam wobec niej poczucie winy. Przeżywała bardzo. Ona młoda, 18 letnia dziewczyna okazała się dzielniejsza ode mnie. Byłam bardzo osłabiona - pragnęłam zapomnienia. Czułam w sobie ciszę, a obok szepty zlewające się w jednolity szmer, jakby liści poruszanych przez wiatr.

Nie wiem, jak długo to mogło trwać? Nikogo o nic nie pytałam. Moja świadomość powracała do rzeczywistości. Nie wiem, czego bardziej żałowałam. Czy chęci udanej ucieczki od życia? czy nie dość przemyślanej decyzji? swego zwątpienia? pozostawiający jeszcze trwalszy ciężar życia. Miałam kilka takich załamania w życiu. Każdą walkę musiałam rozegrać wewnątrz z samą sobą. Musiałam pokonywać swoje zwątpienia, własną słabość, bojaźń, ciężkie trudne sytuacje, czasem przeżycia ponad miarę wytrzymałości ludzkiej i wszelkie przeciwności losu przewycięzać.

Nie mogłam pogodzić się, zaakceptować świat takim, jakim jest -

okrutnym, chciałam odejść. Wszystko jest względne i zależy od okoliczności. Nic nie jest zupełnie jasne, pewne ani oczywiste..... lecz trudne i pozostawiające ślady w psychice.

Na zawsze utkwily mi w pamięci i towarzyszyły przez całe ~~in~~ moje życie słowa mojego brata Adama wypowiedziane w chwili krytycznej - "pamiętaj Jadziu, cokolwiek się stanie najgorszego - musisz być dzielna" /miałam wtedy 13 lat/. Matka była bardzo chora, a dwaj bracia po tyfusie.

Zdanie to było powtarzane z wielką siłą kilkakrotnie i sugerując przed tragicznymi wydarzeniami, dramatem rodzinnym.

Przyznam, że do świadomości mojej wówczas 14-letniego dziewczęcia jakoś - nie bardzo trafiały. Nie mogłam sobie wyobrazić jakoś sytuacji gorszej aniżeli ta, w której wówczas znajdowaliśmy się. Pomimo to zapadły głęboko w podświadomości mojej pamięci.

Zapamiętałam nawet, gdzie i w jakich okolicznościach, czasie i miejscu były wypowiedziane.

Nie zdawałam sobie sprawy ze znaczenia tych słów, przejmowały mnie niepoohamowanym lękiem przed czymś nieznanym. Później gdy następowały jedno po drugim dramatyczne wydarzenia w naszej rodzinie tak dokładnie przepowiedziane przez Adasia, na kilka tygodni przed jego i młodszego 17 letniego Leona śmiercią, gdy zawisł nad nami straszny los. Słowa Adama przeniknęły jak testament do głębi mojej świadomości i towarzyszyły nierozłącznie w wielu trudnych chwilach mojego życia, których los mi nie oszczędził.

Wiedziałam, że muszę być dzielna i przeważnie nią byłam. Jak widać nie zawsze. Nie wiem, jak mogłam teraz właśnie o tym zapomnieć....zwłaszcza, że w różnych sytuacjach nie łatwych w czasie okupacji - zagrożeń w czasie pracy konspiracyjnej wielokrotnie w podobny sposób słyszałam z ust Bolka słowa krzepiące, przypominające o konieczności mobilizacji sił i męstwa. A tu mi ich zabrakło.

Przez kilka dni czułam w sobie jakąś pustkę i ciężar ogromny zarazem przeżyć w sobie tłumionych.

Mało rozmów było w piwnicznej celi, więcej szeptów, skupienia i modlitwy.

Pewnego dnia ^{do}wprowadzono nas niewiastę - lekarkę, znajomą Pani Ireny i Nusi - stałą mieszkankę Krzemieńca. Często wzywano teraz nocami nie tylko Panią Irenę lecz i lekarkę. Obecnie dzieliły się, z nami, o co pytano, o co oskarżano. Można było zrozumieć i wywnioskować z tak masowych aresztowań naszego społeczeństwa walczącego z okupantem, że jest to zamierzony sposób postępowania, skoro niemal cudem ocalała społeczność polska znalazła się pod kluczem u naszych sojuszników w okropny sposób traktowana.

Po kilku dniach panią Lekarz zabrano z naszej celi. Pożegnałyśmy się z życzeniem znalezienia się na wolności.

W pierwszych dniach czerwca zostałam wezwana, następnie Nusia - obie w różnym czasie i pod eskortą zaprowadzone do odległego budynku, gdzie dostarczono nam i kazano przejrzeć nasze plecaki i z zawartości wyodrębnić rzeczy każdego z nas osobno, z czego wynikało, że Bolek jeszcze jest w Krzemieńcu.

Przepakowałam - pozostawiając Bolka plecak z zawartością jego ~~plecaków~~ przedmiotów pod opieką funkcjonariusza NKWD. Swoje kazano mi wabrać ze sobą do piwnicy. Nusia również otrzymała swoje drobiazgi, które miała w plecaku przy sobie. Z tego wynikało, że będziemy wszyscy rozłączeni. Nie zagłębiałam się w domysłach, w tę dżunglę bez przebłysku nadziei. Wiedziałam, że czeka nas zły los, któremu żadne z nas nie może przeciwdziałać, ani nie ma możliwości przeciwstawienia się. W dniu następnym, nie znam daty od świtu słuch nasz wyławiał wzmożony ruch dochodzący zarówno z zewnątrz, jak i z wewnątrz budynku - nawoływania do pośpiechu. Podjeżdżały pod budynek pojazdy mechaniczne, auta ciężarowe, łaziki i tak znane nam już dobrze "czarne worony" - samochody specjalne

przystosowane do przewożenia więźniów, obudowane na głucho blachą z małym zakratowanym jednym okienkiem w tylnych drzwiach nie przepuszczających dostatecznie do wnętrza powietrza, ponieważ wnętrze samochodu jest podzielone na wąskie kabiny szczelnie zamknięte. Każda z kabin zmieścić może tylko jedną osobę, ograniczając jej ruchy bowiem ramiona i biodra szczupłej osoby dotykają ściany kabiny zrobionej z blachy. Takie izolatki zapobiegają bezpośrednio kontaktom między więźniami.

W takiej sytuacji, jak już wspominałam, wykluczony szczególnie ruch - jedynie wyczulony słuch zastępował inne zmysły. Ruch w budynku potęgował się. Rozpoznawałyśmy chwilami głosy męskie, kobiece, wyodrębniając język ojczysty.

Ostre, donośne rozkazodawcze głosy strażników nawołujących w rosyjskim języku do pośpiechu jak zwykle z mieszanką brutalnych słów.

Domyślałyśmy się, że wywożono kogoś, zapewne naszych rodaków. Przez niewielki otwór widziałyśmy samociody podstawione na ulicy, tylnymi drzwiami do samych drzwi budynku, żeby nikt nie mógł dostarczyć kogo wsadzając do "czarnej worki".

Myślałyśmy o Bolku i innych, których widywałyśmy w jakiś sposób w tym budynku. Być może, myśli ich udzielały się nam drogą telepatii. Jeden po drugim pojazdy odjeżdżały. Trwała parę godzin ta odprawa.

Po nas do tego przybytku nikt się nie zgłaszał z władzy - trwałyśmy w oczekiwaniu. W dniu tym modliłyśmy się gorliwie za wszystkich bliskich, znajomych osobiście i nieznanym.

W dniu następnym obserwując przez okienko nad drzwiami fragment widocznego korytarza i schodów - wśród nielicznej grupy wyprowadzanych mężczyzn nie znalazłyśmy już nikogo ze znajomych mężczyzn - mieszkańców Krzemieńca. Nasze wspólne modlitwy, recytacje i opowiadania były chwilami przerwą w morderczym procesie staczania się w otchłań objawienia lepszego wspaniałego świata, poza którym znalazłyśmy się, a który istnieje w nas samych, przez co choć znikoma

nadzieja, ale przyświecała czasem, że los się odmieni jeszcze może.

Niedługo kolej na nas przyszła.

Wzywanie do wyjścia z rzeczami. Ja i Nusia pożegnaliśmy się czule i serdecznie z Panią Ireną.

We mnie pozostało uczucie życzliwości i sympatii, uznania i podziwu, jej postawy w dniach ciężkich doświadczeń, zwłaszcza powroty z przesłuchań wymagały wielkiego, jak można było zauważyć, wysiłku z jej strony.

Będąc razem starałyśmy się w jakiś sposób pomagać sobie wzajemnie, unikać pesymistycznych myśli, choć nic nie skłaniało do optymistycznego widzenia naszej przyszłości. Pani Irena miała zdolności narracyjne - recytowała. Słuchało się ją z zapartym oddechem, zwłaszcza, że odległe dzieje historyczne wiązały się tematycznie z naszymi przeżyciami, w znacznej mierze ostrzej występującymi. Wiele przecież pisano o krzywdzie przez wieki całe umęczonego narodu.

Byliśmy tym pokoleniem, któremu przekazywali wiadomości nasi przodkowie w opowieściach i podaniach.

Wychowywano nas na literaturze, poezji, sztuce, historii, pieśniach utrwalonych w bogatej a niezapomnianej twórczości o naszych dziejach, naszych wieszczach, w malarstwie naszych mistrzów.

Wychodząc z piwnicy oślepił nas blask czerwcowego słońca. Przed budynkiem stał samochód ciężarowy, zwykły odkryty, bez plandeki. Siedziało na nim kilku wojskowych. Kazano wsiadać. Rzuciłyśmy swoje plecaki i z trudem wgramoliłyśmy się pomagając sobie wzajemnie i sadowiąc się na swoich plecakach. Wsiedli również nasi konwojenci.

Odjechałyśmy w stronę zabudowań. Wóz zatrzymał się przed domem parterowym z którego wyszła niewiasta w średnim wieku, wsiadła z niedużą walizeczką, w bardzo szybkim tempie. Nie zdążyłyśmy nawet ściaśnić się, by zrobić miejsce. Samochód ruszył z miejsca tak nagle, że zachwiałyśmy się, nie będąc przygotowane jeszcze do jazdy - straciłyśmy równowagę i upadłam na kogoś siedzącego z wyprostowanymi

nogami - jak zdołałam zauważyć rannego, bo aż syknął z bólu.

Przeprosiłam go i wówczas zauważyłam leżące obok wzdłuż jego ciała szczudła. W czasie jazdy oswajając się i obserwując zdołałyśmy ocenić nasze najbliższe otoczenie, w którym znalazłyśmy się.

Zauważyłyśmy ze sposobu traktowania, że inwalida był na równych z nami prawach, czyli pozbawiony ich w stokroć gorszej sytuacji, aniżeli nasza - ponieważ był inwalidą, zdegradowanym i uzależnionym, potrzebującym pomocy, której, jak mogłyśmy się przekonać w czasie naszej niezwyklej podróży, nie miał.

Przykro mi było, że choć nie ze swej winy, zabraniano nam rozmów między sobą. Zdołałyśmy jedynie usadowić się w sposób możliwy.

Wieziono nas drogą wiodącą z Krzemieńca do Równego. Podrzucało nas mocno, drogi były zniszczone przez działania wojenne, na niektórych odcinkach asfalt był zupełnie zniszczony. Na głębokich wybojach i dziurach koła zapadyły się, opony wyrzucały jak z procy w powietrze kawałki skruszonego asfaltu, a przy tym unosiły się kłęby kurzu.

Pomimo wszystkiego ciężarówka była można rzec komfortowym środkiem podróży w porównaniu z "czarną wroną" - którym nieraz przyszło nam podróżować. Jadąc otwartą ciężarówką miałyśmy dobry dopływ powietrza, mogłyśmy się rozglądać, orientować w kierunku i terenie jazdy, rozpoznawać dobrze nam znane miejscowości, choć były niektóre z nich bardzo zniszczone - wprost nie do poznania.

Równe - w którym niegdyś mieszkałam wyglądało żałośnie. Kościół, kamieniczki po obu stronach głównej ulicy, zharatane, legły w gruzach.

Na ulicy zupełna pustka, wymarła - wyglądało przerażająco, jakby uległo całkowitej zagładzie. Do Korca wiodła szosa przez faliste tereny. Minęliśmy Grabursk, dobrze mi znaną posiadłość p.p. Ładów zaprzyjaźnionych ze mną. Dom zacny, ludzie bardzo ciekawą towarzysko, środowisko ludzi światłych, utalentowany adwokat na terenie W-wy.

Mieliśmy okazję obcować, spędzaliśmy przed wojną wspólne święta, lub wczasy w Ich uroczym zakątku. Były to migawki, wspomnienia.

W Korcu na rynku pozwolono nam wysiąść, rozprostować nieco nogi, a nawet pójść do ubikacji.

Napróżno jadący z nami inwalida w wojskowym mundurze, mający wygląd oficera /naramienniki miał zdarte/ prosił, by mu pomogli zejść z samochodu, niestety, nikt nie pomógł, nikt nie reagował. Konwojenci odeszli obojętnie, mając pewność, że nie ucieknie. My byliśmy bezradne, nie dałybyśmy nawet rady. nie mogłyśmy mu udzielić żadnej pomocy. Na dość ożywionym - jak na ówczesne czasy - ryneczku nasi opiekunowie kupowali artykuły spożywcze. My nie miałyśmy tych możliwości, nie miałyśmy pieniędzy.

Jadąca z nami pani, jak zauważyłyśmy, nie podlegająca ich opiece często zerkała ukradkiem w naszą stronę i podzieliła się swoimi posiłkami z nami - nie wszczynając żadnej rozmowy, poza gestem poczęstunku - szeptem po polsku - co zrozumiłyśmy jako wsparcie, współczucie, opowiedzenia się po naszej stronie.

W Żytomierzu wysiadła na ulicy Moskiewskiej, gdzie nasz wóz ciężarowy zatrzymał się na postój.

W chwili odwróconej uwagi strzegących nas konwojentów powiedziała, że wysiada i opuszcza ten żaloszny pojazd. Przyjechała do córki, którą zamierza odwiedzić pod posiadany adres. Życzyła nam zmiany naszego losu. Wjeżdżając do Żytomierza od strony Związła, do którego będąc dzieckiem jeździłam z Matką, rozpoznałam ulice rodzinnego miasta, place, ulicę Wspólną. Sobór prawosławny z kopułami bizantyjskimi górującymi nad miastem. Tu, w tym mieście, urodziłam się, stąd pochodzę, tu spędziłam dzieciństwo, tu uczyłam się i tu przeżywałam ciężkie chwile, dramaty naszej rodziny w latach 1918-1920.

I znów nadchodzą myśli retrospektywne z lat dziecięcych. Umysł intensywnie pracuje, wydobywa z pamięci szczegóły.

Na cmentarzu pięknie położonym na wzniesieniu nad rzeką Kakirą spoczywają prochy moich przodków; jednego pradziadka, ojca, Piotra, syna, trzech braci: Adama, Leona i Kazimierza.

Na przeciwległym brzegu rzeki Kazieńskiej, rwącej szybkim nurtem na wzgórzu rozsiadła się wioska zwana "Malowanką" z typowym dla tego regionu bielonymi domami pod strzechą. Nazwa odpowiadała temu skupisku, naprawdę bardzo malowniczemu, pięknie położonemu na tle zieleni pól uprawnych. Wyglądała, jak zapamiętałam ten obrazek, - pędzla dobrego artysty pejzażysty. I tak oto po 24 latach znowu znalazłam się w tym mieście - fatalnego złego losu naszej rodziny. Postój przedłużał się. Gdzie też nas zawiozą? Jest dość czasu na rozmyślanie, wspomnienia dni, odległych przeżyć jak i tych jak w maglinie obecnie przeżywanych.

Różne myśli błędzą - chaotyczne, jedna drugą wspiera ...znając dobrze miasto, niewiele tu się za ten czas zmieniło.

Zastanawiałam się, jak z tego miejsca postoju mogłabym dojść najbliższą drogą do ulicy Kroszeńskiej 78, czy jeszcze coś tam pozostało?

Spojrzenie - czy były mi znajome - bliskie? czy obce? Czy zachowały się domy, ogród, drzewa posadzone przez ojca. Nagle wpada mi myśl do głowy, chyba jakieś przeznaczenie mnie tu przywróciło. Może celowo mnie tu przywieziono, by sięgnąć do lat odległych tamtych wydarzeń.

Wszyscy gdzieś porzúkali się. Pozostałyśmy Nusia i ja z jednym tylko opiekunem i inwalidą na ciężarówce jak mniemam ofiarą wojny.

Przypomniałam sobie, gdzie znajdowało się więzienie w Żytomierzu - poza miastem, wówczas było widoczne jak na dłoni z okien północnej części naszego domu skąd otwarł się rozległy widok na pola, park i resztki zabudowań opuszczonych dawnego majątku ziemskiego. Dalej za tą posiadłością, opasaną wysokim murem, zabudowaną gdzieś w latach 1913-1915 z czerwonej cegły, widniał z daleka okazały gmach więzienia. Między więzieniem, a naszą posiadłością rozciągały się rozległe pola - uprawne, zagony przynależne do wioski zwanej "Chinczenką". Przypomniałam sobie jak przy myciu okien po tej stronie właśnie, podczas wycierania okien w czystych szybach

zewnątrznych odbijał się cały pejzaż z fragmentami wioski "Chinczen-
-ki" i okazała budowle gmachu więziennego.

Mysł błyskawicznie mnie nawiedza - że może się teraz zdarzyć,
że z zakratowanych okien więzienia będą oglądać swój dom rodzinny.

Niebawem wrócili konwojenci i ruszyliśmy dalej w drogę w kie-
-runku Kijowa, ulicą Kijowską.

Zbiegiem okoliczności z powodu objazdu - droga wiodła tuż obok
naszej sadyby, obok domów od strony pola czyli na zapleczu ulicy
Kroszczeńskiej. Młode niegdyś tapole posadzone przez ojca w trosce
o osłonę od wiatrów wiejących zwłaszcza jesienią stały teraz także
wysokie, niebotyczne, częściowo uschnięte.

Jakże w latach odległych szumiały metalicznym dźwiękiem, poruszone
wiatrem, duże srebrzyste od spodu liście topoli młodych.

Czułam, jak serce biło mi młotem, gdy nie dość szybko zbliżaliśmy
się do posiadłości po wyboistej drodze. Całość przedstawiała opła-
-kany widok. Dachy łatanie - oparkowanie prawie nie istniało.

Wprawdzie ja już w 1919 roku z konieczności wrywałam deski na opał,
początkowo wewnątrz ogrodu z oddzielającego obie sadyby naszą i stryja.
parkanami, a gdy się wyczerpały, przerzedzałam ogrodzenie szczelne odry-
-wając co drugą deskę. Część domu widoczna zza ogródków nędzna była,
odarta z tynków. Zdawało mi się, że dom stał się mniejszy, wrósł
w ziemię głębiej, a dach łatany częściowo dachówką i papą pogłębił
widok zaniedbania.

Drzewa mocno przerzedzone.

Z wioski Chruczanki - nic nie pozostało już. Została wchłonięta
przez miasto. Kilka murowanych domów parterowych, tylko stało jedno
przedłużenie równoległej ulicy z Kroszczeńską, dawniej zwaną
Chruszczeńską.

Chwilami zdawało mi się, że śnie, tak mało prawdopodobna była rzeczywistość i moja tak bliska, przypadkowa w tych miejscach obecność chwilowa, jak w malignie.

Samochód szybko minął nasze zabudowania, zbliżaliśmy się do więzienia, którego żadna działalność wojenna nie tknęła.

Przypuszczałam, że będzie to kres naszej podróży. Dziwnie się poczułam, było mi duszno od wspomnień bardzo osobistych, bolesnych - piekących jak otwarta rana.

Poczułam w ustach skony smak spływających mimo woli łez. Dość długa objazdowa droga nie była brukowana, na wybojach samochód kołysał się co chwilę w doły.

Wbrew moim przewidywaniom nie zatrzymano samochodu przy bramie więziennej.

Objazd się skończył, zjechaliśmy w pobliże dworca kolejowego na szosę Kijowską i nic już dalej nie przypominało mi lat odległych.

Po drodze zatrzymywaliśmy się, na bardzo krótkie postoje, tylko dwa razy.

Nusia i ja nie schodziłyśmy z samochodu, nie jadłyśmy, nie piłyśmy - nie miałyśmy potrzeby oddalania się. Inwalida wojenny wciąż upominał się o pomoc zejścia z samochodu. Był blady i wyglądał na bardzo cierpiącego. Nusia przy swojej smagłej karnacji wyglądała jak w żółtaczce. Myślałam o Bolku zapewne tą samą drogą jechał.

Wjeżdżając do Kijowa mijaliśmy Darusice bardzo zrujnowaną część przedmieścia. Znowu nawiedzały mnie wspomnienia z lat minionych. Byłam tu ^znamą przez parę tygodni. Najstarszy brat mój, Piotr, po zawarciu małżeństwa z Marią Nehrebecką w sierpniu 1914 roku natychmiast po wypowiedzeniu wojny wcielony został do służby wojskowej rosyjskiej. W randze ppor. służył w jednym pułku ze swoim teściem będącym wówczas w randze pułkownika.

Tak więc niemal od oktarza, po ślubie, po przywdzaniu munduru, znalazł się w Darnicy właśnie na letnim ćwiczebnym obozie wojskowym usytuowanym w lesie - jak sobie zapamiętałam. Żołnierze rozmieszczeni byli w namiotach, oficerowie zaś mieszkali w zabudowaniach wिल्dowych przeważnie drewnianych, zwanych "daczami" czyli domami letniskowymi, których było w lesie mnóstwo, jako że Darnica słynęła z dobrego klimatu - powietrza przesyconego żywicą, zapachami rosnących tu w przeważającej części drzew iglastych.

Oficerowie korzystali ze swych możliwości i sprowadzali na czas letni swoje rodziny. W dużej wielopokojowej willi mieszkał również pułkownik z żoną czyli teściową brata. Ebat mój z żoną, na okres paru tygodni przyjechałyśmy my - Mama i ja.

Miałam wówczas 8 lat i byłam już uczennicą wstępnej klasy gimnazjum Rosyjskiego im. Cesarzowej Marii Fiodorowny Romanowej w Żytomierzu, albowiem polskich uczelni (poza tzw. freblówką czyli przed szkołą) prywatnych nie było.

Mój pobyt z matką w Darnicy w 1914 roku był inny, atrakcyjny, niepodobny w niczym do spędzonych przedtem i potem miesięcy wakacyjnych u swojej chrzestnej matki - Cioci Józii, w jej majątku który zaliczano do najprzyjemniejszych.

W Darnicy dźwięk trąbki wojskowej rozlegał się po lesie - z rana obwieszczał pobudkę, w południe i wieczorem odbywały się koncerty orkiestry wojskowej dętej w parku, w muszli koncertowej.

Teść Piotra - zwany "Papciem" lubił bardzo dzieci - mnie szczególnie obdarzał czułością, wręcz rozpieszczał, uwzględniając w swoich czynnościach codziennych jakieś atrakcje, wyjazdy powozem do Kijowa, zwiedzanie ogrodu zoologicznego, ogródki dziecięce, karuzela, huśtawki itp. "Papcio" był wspaniały, szczerze go polubiłam. Bez cienia zniescierpliwienia odpowiadał na wszystkie moje ustawiczne dociekliwe pytania. Wieczorem zabierał mnie na plac, gdzie odbywały się apele i wieczorne modlitwy kończące się hymnem: - "Boże cara chrań"..., na który byłam szczególnie przewrażliwiona. Był on dość częstym nieporozumieniem, a nawet walką między moimi braćmi a kuzynem uczniem 7 klasy gimnazjum, który wraz z rodzicami często do nas przajeżdżał i na skutek działań wojennych ewakuowany z miejscowości poprzednio zamieszkałej do Żytomierza.

Rodzin mieszana - Ojciec Polak - matka Rosjanka, córka rosyjskiego dygnitarza wychowywała swojego syna Aleksandra - zwanego Szasza w duchu rosyjskim. Mieszkali obok nas w domu stryja. Przychodził do nas. Bracia, prawie rówieśnicy, szydzili z niego, że ma ojca Polaka a nie umie poprawnie mówić po polsku, nie zna historii naszej, pieśni, wierszy.

On popisывał się rosyjskimi piosenkami, a gdy chciał rozżłościć solidarnych z sobą starszych i młodszych moich braci śpiewał hymn

i kazał nam stać na baczność.

Tego było za wiele, dochodziło do ostrych starć, łącznie z użyciem białej broni gromadzonej w naszej rodzinie po przodkach - uczestnikach powstań. Byliśmy wychowywani w duchu patriotycznym, a więc przeciwnym dla niego obozem politycznym zwanym "polskimi miateżnikami" prześladowanymi szczególnie od czasów porobiorowych, w okresie powstania zsyłani na Syberię przez władze carskie. Stąd powstała we mnie niechęć do tego hymnu zapewne.

Pomimo, że była wojna i ogólne przygnębienie panowało - uważam, że były to moje beztrudne wakacje przed rozpoczęciem nauki.

Z tych odległych refleksji, z przywołanych z pamięci obrazów związanych z tą miejscowością, ocknąłam się w chwili, gdy samochód zatrzymał się w Kijowie na ulicy Korolenki przed bramą więzienia.

Żwawo zeskokczyli nasi konwojenci, część pozostała przy nas, dwóch weszło do wnętrza. Za chwilę otworzyły się wrota olbrzymie, wóz wjechał do ponurego podwórza - ciężka żelazna brama zamknęła się z głośnym hukem i trzaskiem zamku - aż drgnęłam. Tak więc ... "wy, którzy wchodzicie tu - pozostawiacie za sobą wszelkie nadzieje ..." - pomyślałam: od tego miejsca i czasu rozpoczyna się nowy rozdział naszego życia. Czy życia? - raczej męki i śmierci.

Kazano nam zabrać z sobą plecaki, wprowadzono do kancelarii. Odebrano wszystko, co miałyśmy przy sobie na czas podróży, przed wyjazdem z Krzemieńca - a więc zegarki, kolczyki z rubinami, broszkę z rubinem, igły, agrafki, nożyczki, scyzoryki, paski, tasiemki, gunki, sznurowadła, sprzączki, guziki, wypruto zatrzaśki, haftki i klamerki.

Przeprowadzono ponadto ścisłą rewizję z szykanymi, gimnastycznymi przysiadami i podskokami - nago.

Od tej chwili nic twego nie jest twoim. Sama jesteś manekinem, na którym zawieszano ubranie, które można w każdej chwili zdjąć.

W jednej chwili zrozumiałam, że stałam się bezsilna.

W asyście strażnika prowadzono nas przez podwórze, następnie przez długi korytarz i na parterze rozdzielono nas.

Mnie wsadzono do ciemnego boksu przewidzianego do siedzenia tylko w jednej pozycji, osoby szczupłej, z niemożliwością poruszania się.

Boks był pozbawiony oświetlenia i okien oczywiście. Siedząc na wąskiej, wysokiej ławie nogi zwisały nie dostając do podłogi cementowej - co było bardzo męczące i szybko zjawiały się obrzęki.

Nie było również dopływu powietrza - miałam duszności, a równocześnie było mi zimno. Nie wiem, w którym z boksów siedziała Nusia?

Siedziałam potulnie dotykając ramionami do zimnej blachy stali, pogrążona w obojętności i rezygnacji, wiedząc, że nic ode mnie nie jest zależne, żadnych warunków przeciwdziałania, żadnej obrony.

Przypominało mi się niejednokrotnie zaskysane powiedzenie: "Kto nie był tu - ten będzie, kto był - ten nie zapomni"

Trudno było zorientować się, jak długo trzymano w tym boksie.

Nie wiedziałam, kiedy był świt, dzień, zmrok czy noc.

Zalegała ciemność, zapadałam w drzemkę albo bezmyślne otępienie.

Trzy razy dostawałam stawę w postaci zupy w misce aluminiowej, w której pływały główki małych rybek i kruszynki jaglanych zacierek. Miskę z zupą wsuwano przez próg otworu na dole, między dość wysoko zawieszonymi drzwiami a podłogą - bez otwierania drzwi.

Nie wiem, jak długo w tej izolatce siedziałam, cztery razy wypro-
wadzano mnie do ubikacji.

Pomieszczenie to znajdowało się wewnątrz budynku, było pozbawione okien. Jedyne z góry świeciło się nisko światło elektryczne i docierało do kabin izolatek. Siedząc rozmyślałam, nadśluchiwałam, czy nie dobiega skąd znajomy głos, chrząknięcie, szept czy jakiś szmer.

Drętwiały mi nogi, kciuk lewej ręki /po przecięciu żyły w Krzemielcu/ bolał mnie bardzo i pośladki a także kręgosłup. Nie miałam żadnego sposobu zmiany pozycji, chciałam uklęknąć, na próżno - nie mogłam zrobić pół-
obrotu, tak obliczone było pomieszczenie nie dopuszczające do zmiany ru-
chów. Czasem starałam się zachowywać głośno, kaszlałam, lub bębniłam
palcami w blachę ściany licząc, że ktoś z naszych będących w sąsie-
dztwie mojej kabiny - usłyszy. Cisza była zupełna. Po długiej przerwie,
początkowo szeptem doniosłym wymieniałam imiona na przemian Bólka
i Nusi. Następnie półgłosem ponawiałam imiona. Odezwał się głos
męski z wiązaną obelżywych, ohydnych słów tak ^{na} zmiennych dla wzboga-
-cania ubóstwa językowego tej warstwy ludzi, z groźbą zmuszającą
do natychmiastowego milczenia.

Od czasu do czasu słychać było trzaski zanków otwieranych i zamy-
-kanych drzwi, kroki jakies, dziwne klaskania palcami w rodzaju
kastanietów hiszpańskich.

Wreszcie nadszedł czas - zostałam zabrana z tej ciasnej klatki,
zaprowadzono mnie do celi 63 na piętrze. Dość długa była droga,
prowadzono mnie przez długie korytarze, klatki schodowe i znowu ko-
-rytarze. Rozglądałam się po tych kazamatach, labiryncie o grubych
murach, zakratowanych oknach. Dociekałam, skąd i po co, czemu służą
te kazamaty.

Wkrótce mogłam się przekonać. Otóż każdy ze strażników prowadząc więźnia musi dawać znać - klaskać palcami - w rosyjskim języku nazywa się "szczekać" uprzedzając w ten sposób innego strażnika prowadzącego więźnia z przeciwka, by ustawił go z podniesionymi rękami do góry, twarzą do ściany, zapobiegając w ten sposób wzajemnym, ewentualnym rozpoznaniem się więźniów, prowadzonych i ewentualnym porozumiewaniem się.

W celi 63 zamknięto mnie. Byłam sama. Stało jedno żelazne łóżko /krojka/ bez materaca, bez pościeli z kubkiem do załatwiania się z pokrywą, zwaną "parasza"^{ym}

Cela bardzo wysoka, u góry małe okienko zakratowane, od strony zewnętrznej osłonięte blachą na ukos. Słońce do celi nie przenikało było mroczno. W drzwiach okienko, otwierane przez dozorcę w celu podawania posiłków. Nad okienkiem "judasz" tzw. "wołozok" - okrągły wizjer dla dozoru każdego ruchu więźnia, kontrolującego, czy nie śpi w dzień - co było zabronione surowo.

Na tym polegała cała udręka, żeby nie dać człowiekowi ani chwili własnego życia. Więzień ma być ustawicznie obserwowany i czuć się w obcych rękach. Niech tylko złapią na drzemce w dzień - groźba ^wkracera wtedy nieunikniona.

Okropna jest taka izolacja, oderwanie się od życia. Dnie wydawały się nieskończenie długie, bezczynne, nużące. Myśli tłoczą się pesymistyczne. Oczekiwanie na coś jeszcze gorszego czego nawet trudno przewidzieć. W nocy spać nie sposób, choć pragnie się snu bardzo. Akustyka wyjątkowa - powtarzane echa kroków, otwierają drzwi, zamki trzaskają, dzwonią klucze, słychać kroki i znów kastaniety.

Wyobraźnia pobudzona wrażeniami słuchowymi wznaga napięcie nerwowe. W nocy przecież są przesłuchania - otwierają cele, wzywają na literę "B" czy "S" Słyszać jak wzywani wymienia swoje nazwisko - znów kroki - kto? czyje? gdzie prowadzą? Wsłuchuję się w napięciu.

Może usłyszę Bolka chrząknięcia, może odezwie się na "H" pierwszą literę swojego nazwiska i wypowie je, słucham w napięciu.

Różne moje oczekiwania a może Bolka tu nie ma? Głosów kobiecych też nie słyszeć. Noc mijała, czułam się jak w maglinie, a dzień nie nowego nie widać.

A mnie nie wzywają. Ileż różnych myśli tłoczy się w głowie, chyba bliska jestem obłądu. Zmęczona nad ranem, po nocy nieprzespanej, jakże pragnęłam snu, a spać już nie było wolno. Gdy tylko zaczął drzemać, otwierało się z hałasem okienko, z którego wykazywała się potworna twarz szeroka o skośnych oczach.

I tak dzień w dzień, i noc w noc, nie mogłam oczu zmrużyć.

W celi nie ma na czym oczu zatrzymać, gołe ściany, żadnego przedmiotu. Liczę kraty. Z pamięci wyławiam wiersze - nadsłuchuję - pogażam się w modlitwie, a każde słowo staje się jak nigdy przedtem - bardziej treściwe "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj",....

Teraz, gdy go nie mamy, tak pełne wyrazu i treści są te słowa. A pod postacią chleba - kryje się wszystko - pokarm duchowy. A gdy zwątpienie przychodzi i nie jest już od nas zależne, z myślą płyną słowa"bądź wola Twoja"

Były takie okresy, kiedy w ówczesne życie - przenikają dobrze znane nam słowa wiązane, do których dawniej może nie przywiązywało się szczególnego znaczenia - dobrze przemyślane nabierały głębokiej treści.

W tym gmachu między zmierzchem a brzaskiem - nie jedna głowa
posiwiała i nie jeden rozum pomieszał się.

Nie wzywają nas na przesłuchania? Co z Bolkiem?

Serce mnie boli gorzko w ustach, tak gorzko, głowę rozsa-
-dzają nieustanne myśli.

Żeby można było przestać myśleć, zczeznąć

Głodu nie odczuwam ale sięgam po chleb, po okruszynie wkładam do ust,
popijam wodą, po chwili zwracam wszystko zabarwione żółcią

i zwiększoną goryczą w ustach. Czekam na ciepłą "bałandę"

- zupę z osolonej wody z płatkami zmarzniętej kapusty, śmierdzącej
i główkami drobnych rybek.

Nie wyprowadzają mnie wcale na spacer, choć słyszę, że ^z innych celi wychodzą.

Jak ze studni słysząc odgłosy z dołu z podwórza betonowego, masowe kroki.

Kiedyś zdobyłam się na odwagę, wspięłam się, stanęłam na parapet, ~~wyciągnęłam~~ na kibel i przez szpary w oknie, między blachą zakrywającą okno z murem, ujrzałam przesuwające się w koło sylwetki.

Był to moment, za który mogłam zapłacić karcelem - izolatką. Bólka na spacerze nie było. W celi poznałam każdą skazę, nierówności na ścianach, które układały się w mojej wyobraźni w jakies obrazy, fantastyczne postacie, zwierzęta, pomniki, schodki, krzewy.

Wzrok mój pełzał po ścianach, zazwyczaj sięgał gdzieś wyżej, aż pewnego dnia czując silne bóle z powodu kamicy żółciowej - wątrobowej odwróciłam się do ściany na swojej twardej pryczy, na której za posłanie służyło jedynie moje bardzo wytarte futerko i oparłwszy wzrok o ścianę tuż przy posłaniu ujrzałam wydłubane w tynku imię i nazwisko dobrze mi znane, Jadwigi Baczyńskiej z Łucka, oraz datę maj 1944, krzyż czy też dużą literę T i coś jeszcze było niewyraźne, niezrozumiałe, nieczytelne.

W ten sposób dowiedziałam się o obecności w tym więzieniu Jadwigi.

Należało też przypuszczać, że są tu też jej synowie, Tadeusz i Julian, ponieważ wszyscy troje byli aresztowani w Łucku, tuż przed naszym wyjazdem do Krzemieńca.

Najwidoczniej siedziała w tej celi przed moim przyjazdem, zaczyna mi kojarzyć się zaraz. Czy to nie celowo ^{mi} tu posadzili, może wspólną sprawę wytoczyć zamierzają. I znów potok myśli na ten temat powstaje, stawiam sobie ewentualne pytania, jakie mogą być zadawane na śledztwie - moje odpowiedzi

Wszystko to bezsensowne.

Nie ma żadnej sprawy i być nie może

O co chodzi, dlaczego tu znaleźliśmy się, przecież nic nie uczyni-
-liśmy i żadnych zamiarów nie mieliśmy wobec tych zaborców.

Koszmar. To działa niewątpliwie jakaś machina, podstępna,
polityczna dawnych rozruchów, nienawiści do Polaków.

Historia powtarza się zwielokrotniona okrutnym wyobrażeniem,
świadczą o tym aresztowania Polaków, zesłania, więzienia.

To, co przed wielu laty dotknęło społeczeństwo nasze po rozbiorach,
następnie w latach 1939 - 40.

Po napaści hitlerowskiej i rozbiorze, znowu teraz w nieporów-
-nywalnie większej skali ze zwielokrotnioną siłą spada na nas
udręczonych długoletnią okupacją i walką z hitleryzmem.

Czyżby to nasze świadome pokolenie, społeczeństwo
pełne patriotyzmu walczące i broniące ojczyznę, we wrześnie,
za kraj ginące, rozdarte emigracją, tułaczką, okupacją

hitlerowską, wywożone na Sybir, do Kazachstanu w czas klęski
i rozpaczki narodowej, niszczone w obozach, ginące w pracy
konspiracyjnej w powstaniu - zostało skazane teraz na zupełną
zagładę.

Czyż Ci pseudo - sprzymierzeńcy z kłanliwą propagandą,
określający siebie przyjaciółmi, sojusznikami naszymi,
wobec całego świata, dążą za wszelką cenę do zagłady
naszego narodu.

Jeżeli wierzyć w powtarzalność historii - mając w pamięci
nasze walki, zmagania, zrywy, klęski, blaski i sto trzydziesto
letnią niewolę.

Następnie po przeblasku jaśniejszej dwudziestoletniej niepodleg-
-łości obserwując, co się teraz dzieje - można wywnioskować,
do czego się zmierza, przepowiada przyszłość naszej umęczonej
ojczyzny i narodu.

W okresie, ^w którym Polski na mapie nie było - społeczeństwo polskie przeciwstawiało swoją wiarę w trwałość narodu, w to, że doczeka się odmiany istniejącej niesprawiedliwości teraz również wbrew zwątpieniu i rozpacz, wbrew rzeczywistości nawet rozsądkowi - trzeba wierzyć, że się wszystko odmieni, nastąpi wyzwolenie.

Smutkiem jedynie napawa myśl, że bez naszego ostatecznego udziału, ponieważ nas pozbawili wolności i takiej możliwości takie i inne, osobiste wpływające na z uczuć - myśli bezustannie błędzą w głowie przerywane - nadśluchiwanien.

W mojej samotni nie dawały mi spokoju : szmery, szepty, otwieranie zamków - serce ^{koło} młotem w oczekiwaniu dokąd zabiorą?

Czy jeszcze kiedy zobaczę się z Bolkiem, twarzą brata Nuski? Czasem przychodzi chwila uspokojenia, wtedy przypominam sobie wiersze, wszystko, co stanowiło naszą rodzimą literaturę, na której byliśmy wychowani. Nasze wzorce przekazywane przez dom rodzinny, wychowawców jako najwyższe wartości.

Czasem modliłam się gorliwie własnymi słowami prosząc Boga o siłę wytrwania, nie tylko dla siebie.

Chwytałam ulotną myśl na wpół senną., w półprzytomna słowa modlitwy to znowu strofki wierszy wplątywały mi się

" duch na ustach staje i już niezdolny zatrzymać płacz minowolny" skąd, napływały te słowa odpowiadające memu nastrojowi - zasłyszane, znane i własne.

Czasem miałam chwile niewiarygodne - chęci krzyku, które czynią, że natura ludzka skrzydlata rozpacz wypowiada i myśli rozpląta - jak struna naciągnięta zrywa się w zgrzyt

Jeden z tych krzyków będących na uwięzi człowieka, jak szatan zawyje, jak pies zaszczeka.

Jaką gamę nastrojów człowiek w różnych okolicznościach życiowych przeżywa, jak bardzo zmienia się w ciągu jednej chwili. Raz jest się odważną iskierką nadziei i wiary, to znów się bardzo boi, widzi tylko postrach upiory beznadziejność - zakamuje się psychicznie.

Gdybym wiedziała coś o Bolku, o Nusi, to chyba byłabym spokojniejsza i mniej bolałoby mnie moje chore serce.

Godziny w onie, dni w tygodnie i miesiące zamieniały się. Nic się nie wiedziało.

Na ścianie obok swej pryczy i ja paznokciem swoją, jak mi się zdawało, klapsydrę - rok urodzenia imię, nazwisko, datę przybycia do celi. Odejścia z niej nie da się przewidzieć, ani nie zdąży się wypisać.

Od czasu do czasu pytałam o datę "opiekuna więziennego" ustawicznie obserwującego nas przez wizjer.

Nie należałam nigdy do rozmownych

Czasem słyszałam rozmowę więźniów z sąsiedniej sali (celi) ze strażnikiem proszących o machorkę, ogień.

Kiedys strażnik sam mi zaproponował gazetę i machorkę. Przyjęłam, skręciłam papierosa, z zapaleniem miałam jednak trudności ponieważ szykanował - otwierał okienko podając ogień, gdy wstałam podeszłam do drzwi, okienko zamykał. Trzeba było wiele cierpliwości - stałam więc tak długo przy drzwiach zanim nie spojrział przez wizjer, nie znajdując mnie w polu swego widzenia otwierał okienko, będąc w pogotowiu udało się czasem zapalić.

Močna machorka wywoływała kaszel. Po zaciągnięciu się parę razy doznawałam silnego zawrotu głowy, ledwie do pryczy dojść mogłam.

Unikałam tej wątpliwej przysmakości, odzwyczajając się od nikotyny.

Bardzo dokuczał mi chłód, nie miałam nic do przykrycia, parę łaszków letnich i jedyne futro stare, wytarte źrebaki, które służyły za posłanie i przykrycie.

Rozgrzewałam się nieco po posiłkach, jeżeli były gorące, zupa, "b a ł a n d a", zazwyczaj ledwie ciepła, natomiast wrzątek z rana i wieczorem gorący zagrzewał.

Raz dziennie wyprowadzali do ubikacji - o takiej porze, kiedy zupełnie nie miało się ochoty, ponieważ przy więziennych skąpych

posiłkach , bez ruchu, po obezwładniającym leżeniu, siedzeniu, przewody trawienne były wyjątkowo perystaltyka osłabiona - nie było się zdolnym do załatwienia rachunku z naturą zaraz po nocy.

Ale żadnych względów nie było, czas wyznaczony, ograniczony, wracać należy szybko pod klucz.

Z ^zrozmysłem był ułożony regulamin w ten sposób , żeby dręczyć do ostateczności, poza tymi przeznaczonymi na ten cel godzinami nikt cię nie wypuści do tego przybytku

- musisz korzystać z „parowy”^{asz}, czyli kubka, pod obserwacją dozorey szpiegującego przez wizjer.

Po powrocie do celi powracały ze mną nierozłącznie trwające myśli. Znowu wzrok błądził po gołym , nierównym tynku ścian dostarczając wizualne obrazki , najprzeróżniejsze sceny moich myśli. Siłą woli starałam się zachować równowagę psychiczną, jak mi się zdawało, już nieco zachwiana.

Dlatego w obronie swojej ... powstał pomysł ustalenia sobie rozkładu dnia, dzieląc czas na gimnastykę , siedzenie i spacer w celi, starając się o równomierność - tyle spaceru co siedzenia na przemian.

Było to korzystne , w ruchu rozgrzewałam się. Tęsknota mnie opuszczała. Z powodu braku podwiązek opadały ~~mi~~ pończochy, pozbawione gunek ... nie trzymały się. Biustonosz~~a~~ pozbawiony^{ep} ~~z~~apięcia nosić nie mogłam. Spódnica bez zapięcia a także bluzki i sweter pozbawiony guzików , sprawiały trudności - w wszystko, co miałam na sobie, musiałam przytrzymywać rękami.

Pozbawiona nici i igły nie mogłam ani przyszyć ani ^szcepić. Celę wymierzyłam krokami, była dość duża jak na jedną osobę. Wydawała mi się kwadratowa, ale miała pięć ~~na~~ trzech kroków na trzy.

Chodziłam wzdłuż, w Tszerz lub w kółko. Zauważyłam, że dozorcujący na korytarzu strażnik częściej zaczął spoglądać przez wizjer , coś go niepokoiło w moim zachowaniu, nadmiernym ruchu.

Nastroje moje miały się od skrajnie pesymistycznych , chwilami gdzieś przebłysk nadziei zjawiał się, by znów później pograżyć w większą beznadziejność, tęsknotę i rozpacz.

Nie miałam jednak wyrzutów , żadn^y swo^{ich} czyn^{ów}, nie uważałam za niewłaściwe. Wszystko, co robiłam dotychczas - uważałam za słuszne.

Byłam dumna.

z przynależności do drogiej ojczyzny, narodu i jeszcze bardziej czułam się przywiązana do niej, do swojego społeczeństwa unęconego.

Czasem znów wizja przyszłości przybliżała się w wynaturzonej postaci, rzeczy bliskie traciły kształty, plątały się czasy, a dom, ciepło ojczyściej miłości, uciekały się gdzieś, rozpląwały się, nie sposób było urealnić, przychwycić, osiągnąć.

Wszystko zdawało się szydzić dokoła z uczuć i sytuacji.

Wtedy chciało się krzyżeć. Trudno było pogodzić się, że wszystko pożeglowało w przeszłość, odpływało zabierając ze sobą wszelkie nadzieje na jakąkolwiek - wspólną naszą przyszłość.

Uczucie moje do Bolka w rozłące podsycane tęsnotą i niepokojem było przeogromne, pogłębione samotnością.

Jakiż to okrutny nieubłagany, nierozłączny los w życiu nas przesładuje. Wydarzenia i przemoc nie przesłoniły i nie osłabiły naszych uczuć. Wyzwoliły jedynie lęk za może i niepokój o ukochanych przed obcą siłą, przemocą i dały inne spojrzenie na wszystko na świat zwariowany, którego zło może zamieszkały w makabryczne morderstwa przemoc narodzi nad narodem - człowieka nad człowiekiem.

Wojna kończy się - zło coraz bardziej rezszerzało się jak epidemia. Tyrania i okrucieństwa biorą górę nad rozsądkiem i sprawiedliwością. Nie wiadomo kto się uczy od kogo - wschód od zachodu czy odwrotnie.

Kto przoduje w tym powstającym ^w wspólnym morderstwie.

Mijały dni i traciłam orientację czasu, nie znałam dat ani tygodni, a także godziny.

Zawodził wyskrobany paznokciem niewyraźny na ścianie kalendarz.

Ustawicznie nasłuchiwałam przejaw^{ów} życia dochodzą^{ych} z poza celi. Dociekliwie wsłuchiwałam się w każde chrząkanie, kaszle, szept szmery - może, to on[?]; Jeżeli nocą na przesłuchania prowadzą.

I tak wciąż w kółko, przez wiele godzin nadśluchujesz, słyszałam jak, mi się zdawało a być może były to halucynacje słuchowe dochodzące z korytarza obok mojej celi, otwierające się drzwi i głos ochrypli wzywający na literę H i z głębi gdzieś słuchane odpowiedzi. Haber

Zacząłam walić pięściami i krzyżeć okropnie, aż otwarły się drzwi, weszło dwóch skośnocekich drabów złapali mnie za ręce mocno aż do bólu posadzili na pryczy wrzeszczeli do mnie :

"Czego kosierzyż" - a ja krzyczałam ile sił starczyło -
- wypuście nas ile tych Haberów macie, że wsiąż ich
wzywacie ,wprowadzacie i wyprowadzacie "

O jak dobrze pamiętam, było to okropne.
Nic ... straciłam przytomność i opanowanie. Czulałam ból na
zaciśniętej prawej ręce powyżej łokcia. - silny zaciskający
jak obręcz. Wzrok mój zatrzymał się na ścianie - okaleczonym
tynku - znałam każdy szczegół dając upust swojej wyobraźni.

Wpatrując się uspokajałam się stopniowo w bezsilności swojej.
Widziałam w zarysowaniach wyrazy, przepaście, głębie, mosty,
gąszcze, splątane wodorosty. Poczulałam chaos porywający mnie poza czas
coraz dalej od siebie... zapadałam w odrętwienie, obojętność.

Choć pamiętam wszystkie szczegóły do dziś , nie wiem, jak długo
ten stan utrzymywał się. Gdy rzeczywistość mnie przywołała,
byłam mokra cała - chyba zlewali mnie wodą - nikogo już przy mnie
nie było. Zapadła cisza, zostałam znowu ze swoimi koszmarnymi myś-
-lami, które nieustępliwie zmieniające się, ale tematycznie
podobne, przywołujące jedna drugą jak przedza zwijająca się
w kłębek.

Czulałam potworny ziąb, pozbawiona suchego kacha drżałam wtulając
się w mokrą skórę wytartego futra, które chłodziło jeszcze bardziej.

Po kilku dniach przemieszczono mnie do innej celi mniejszej,
o ile sobie przypominam, 65. Znowu samotnie siedziałam.

Cela zdawała się być cieplejsza. Szukałam napisów na ścianach,
w nadziei , że się dowiem coś o Belku lub Nusi. Żadnych intere-
-sujących mnie znaków , liter nie odnalazłam.

Okropną jest samotność w tych warunkach i bezczynność.
Wszystkie zmysły nad wyraz są wyczułone, szczególnie słuch.
Wyławiający z ciszy każdy szmer , czasem jak wołanie albo
rozdzierający krzyk przeraźliwy, który echem odbijał się, roz-
-dzierał ciszę.

Szczególnie często powtarzał się młody głos. Z treści słów
wykrzykiwanych przez młodego mężczyznę domyślić się mogłam,
że był to wojskowy. Za każdym razem gdy go wprowadzono z celi
krzycząc silnym głosem śpiewnym przechodzącym w śmiech histeryczny
czasem płacz... wołał w języku rosyjskim "gdzieś moja sestro" -
czyli "gdzieś jest mój karabinie"

W chwili zupełnej ciszy, gdy siedziałam znieruchomiła, przychodziły do mnie myszki, początkowo jedna, później sprowadzała więcej, zostawiała im okruchy chleba, dzieliłam się racjonowaną mi porcją chleba. Na widok myszy miałam zawsze obrzydzenie, teraz w swojej samotni polubiłam te stworzenia wolne, choć były w więzieniu.

Gdzieś w pobliżu prawdopodobnie znajdowała się kuchnia, ponieważ powonieniem odbierałam zapachy ryby, którą nas karmiono, czasem kapustą. Niekiedy głosy dziatwy dolatywały, należało domyślać się, że gdzieś w pobliżu znajdowała się szkoła.

W tej części więzienia, gdzie się teraz znajdowałam, na korytarzu pełniły straż kobiety. Czasem coś mówiły półgłosem. Częściej niż przedtem wyprowadzały mnie do ubikacji, ale one też często zaglądały przez judasza i nie pozwalały w dzień sypiać.

Wyprowadzana byłam sama, nie miałam więc nadziei na żadne spotkanie. Przez kilka dni, mniej więcej o jednej porze popołudniowej, zauważyłam przy drzwiach mojej celi jakieś szepty, szmery otwieranego judasza, dzwonienie kluczymi, otwieranie zamków sąsiednich celi.

Pewnego dnia strażniczka ↓ wyprowadziła mnie do ubikacji, w drodze powrotnej strażniczka zachęciła mnie, żebym zajrzała przez judasza z korytarza do sąsiedniej celi. Gdy uległam pokusie, ujrzałam siedzącą skuloną z podwiniętymi pod siebie nogami - Nusię. Dziwnego doznałam mieszane go uczucia - cieszyło mnie, że ją widzę, a zarazem cała sceneria zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie.

Któż zdoła odgadnąć, czym powodowały się strażniczki pokazując nas sobie przez wizjer. Nie miałam wątpliwości, że Nusia mnie widziała, o czym świadczyły szmery przez kilka dni przy drzwiach celi, w których znajdowałam się i co zresztą potwierdziła przy pierwszej okazji naszego spotkania Nusia.

Na widok oglądanej przez tzw. "Wołczak" Nusi - mizernej, zabiedzonej, ogarnęła mnie wielka żalność. Wiedziałam, co znaczy samotność, zamknięta w murach celi - szara codzienna egzystencja, jak kołaczące puste okno. Jakże to wszystko trudne do zniesienia, szczególnie dziewiętnastoletniemu dziewczęciu.

I chociaż często w myślach dopatrywałam się podobnej do mojej sytuacji, widok pogłębił smutek mych doznań, ponieważ wszystko zbliżyło myśli moje do Bolka. Pragnęłam bodaj w takiej scenerii jego zobaczyć. Amputownie^{owo} nas od swoich najbliższych, od świata, pozabawiono wszystkiego w tym ponurym gmachu - wiadomości, wrażeń, zwierzeń, wszelkich kontaktów z zewnątrz, nawet okna przesłonięte blachą uniemożliwiwały ujrzienia skrawka nieba.

Doczekałam się dnia wyprowadzenia na pierwszy spacer. Narzuciłam na siebie swoje zniszczone futerko, spłaszczone, wytarte do cna, wygięte, gdyż było mi posłaniem i okryciem. Przytrzymując reformy, pozbawione podwiązek pończochy, naciennych nogach wiązałam węzełki, żeby nie spadły.


Długo prowadzono mnie labiryntem korytarzy, schodów, przez podwórze, znowu prowadzono do budynków, jak mi się zdawało, do tych samych korytarzy. Słyszałam poza sobą odgłosy kroków, ostrzegawcze sygnały policji. Nie wolno było oglądać się za siebie. Dziwna akustyka sprawiała, że wszystkie odgłosy, dźwięki dochodzące w tym moje kroki zlewały się w jakąś melodię i słowa wypowiedzane, jakby powtarzane z wielokrotnym echem zniekształcone, tajemnicze - powracały do moich uszu szczególnie wyczulonych.

Wprowadzono mnie wreszcie na cementową płytę w rodzaju podwórza tworzącego czworobok otoczony ze wszystkich stron ścianami zabudowań więziennych na wysokości 4 - 5 pięter.

Na ścianach widniały w odstępach daszki blaszane na czerwono malowane zawieszane na zakratowanych oknach, nie było na czym wzroku oprzeć, nie było skrawka zieleni.

Kilka wymizerowanych cieni rozglądających się dokoła stało w oczekiwaniu pod strażą. Chcąc ujrzeć niebo, trzeba było wysoko zadzierać głowę w górę. Za chwilę doprowadzono jeszcze parę osób, ustawiono nas jedną za drugą tworząc koło.

Rozpoczęto spacer w kółko. Miałam wrażenie, że znajdowałam się w głębokiej studni - takie głuchoe echo dochodziło z szeptem, oddychań i odgłosów.



Kroków przesuających się w kółko więźniarek .

Naraz usłyszałam głośnie nawoływanie, najwyraźniej swoje imię powtarzane kilkakrotnie. Początkowo myślałam, że nawiedzają mnie słuchowe halucynacje, że uległam jakiemuś złudzeniu dźwięków przy dudniących krokach kilkunastu osób , najwyraźniej powtarzało się moje imię Jaga - poznałam głos Bolka.

Nie miałam już złudzeń, pochodził gdzieś z góry, z któregoś z okien. Ukryte za blachami okna nie mogły ujrzeć osoby . Będąc zorientowana w sytuacji mogłam jedynie wyobrazić sobie, w jaki sposób mógł mnie zobaczyć sięgając do zakratowanego okna w swojej celi - przez szparę między murem a blachą nie wszędzie szczelnie przylegającą.

Miałam więc pewność, że mnie widział. Chciałam i ja kiedyś w ten sposób - na próżno - dostrzec jego i rozpoznać wśród spacerujących - tylko że nigdy nie widziałam go, nie natrafiłam prawdopodobnie na tę grupę albo nie wyprowadzili go w ogóle.

Wiedziałam odtąd, że któreś z osłoniętych blachą okien kryje Bolka, celę, w której się znajduje. Jest więc tu - żyje. Pierwszy dzień mojego spaceru był więc szczęśliwym dla mnie darem.

Ponadto dowiedziałam się od strażnika, jaka była w tym dniu data, czyli dzień moich imienin i w dniu tym otrzymałam cudowny prezent od Bolka w postaci głosu - jego wołanie.

Pięć miesięcy upłynęło od naszego aresztowania, a cztery od przewiezienia nas do Kijowa na Korolanki. Przed paru dniami widziałam Nusię, dziś usłyszałam głos Bolka. Czułam, jak serce moje żywiej bije.

Stopniowo topniała ilość spacerujących ilość więźniów - strażnicy odprowadzali do celi albo grupami albo pojedynczo. Na mnie również czas przyszedł. Wracając do celi jeszcze rozmyślałam, zastanawiałam się, czy przypadkiem nie miałam halucynacji słuchowych, analizowałam, przypominałam - jak strażnicy rozglądali się słysząc głos dobiegający gdzieś z góry i obserwujących zachowanie się nas spacerujących, i to mnie coraz bardziej utwierdzało w przekonaniu o prawdziwości tego ważnego dla mnie wydarzenia.

Wlokły się dni i noce upiorne, jednostajne. Od daty spaceru i usłyszanego głosu Bolka drapałam paznokciem na ścianie kreski, licząc w ten sposób dni.

Wezwano mnie wreszcie do śledczej kobiety - rozpoczęły się przesłuchiwanie długo oczekiwane.

Wyglądało to w ten sposób - padały pytania, za każdym razem te same. powtarzane na początku - nazwisko - imię, zawód rodziców, męża, narodowość, miejsce stałego zamieszkania, ilę rodzeństwa, co robią, gdzie się znajdują, gdzie pracowałam w czasie władzy radzieckiej, podczas okupacji, czy zajmowałam się szpiegostwem na rzecz Niemców. Kto ze mną pracował. Pytania padały bezmyślne, te same, przystosowane do sprawy, szablonowe, ułożone dla wszystkichby sprawę wytoczyć bez winy.

Wreszcie wdawała się jakby w rozmowę zmieniającą w temat bardziej poufny wręcz - ...?

Zmieniała tematy o kroju mojej sukienki, którą by chciała skopiować, później coś pisała dość długo, a ja znużona drzemałam.

Przesłuchiwania były wyłącznie w nocy. Gdzieś w środku nocy. Nad rankiem dzwoniło po strażnika, względnie otwierano drzwi, wołali z korytarzy strażnika, by odprowadził mnie do celi i tak się to powtarzało. Aż wreszcie którejs nocy dostałam jakieś połamane krzesło, na którym kazała mi usiąść, miało trzy nogi a czwarta była wylamana do połowy.

Kostniałam więc siedząc na nim w sposób ostrożny, podtrzymując z jednej strony ręką, by się nie przewrócić, co było trudne do zniesienia.

Tym razem pokazywała mi zdjęcia jakichś młodych mężczyzn, których wcale nie znałam, wmawiając, że przyznali się już, że mnie znają. Powiedziałam, że możliwe, ponieważ pracowałam w charakterze kasjerki w aptece, ale żadnych osobistych znajomości z tymi ludźmi nie miałam, ani żadnych kontaktów. Po kilkakrotnych indagacjach i moich stanowczych zaprzeczeniach - podeszła do mnie i kazała opuścić ręce - straciłam równowagę i upadłam wraz z przewróconym krzesłem.

Nie wiem, jak znalazłam w sobie siłę do opanowania wewnętrznego wzburzenia. Stałam się jak głaz. Postanowiłam nie odpowiadać na żadne z zadawanych pytań i nie reagować na zachowanie wściekłej, zwariowanej śledczej, bez względu na to, co nas czeka i co z nami zrobią.

Czułam w sobie upór. Miałam możliwość przekonać się wiele razy, w różnych zbliżonych do podobnej sytuacjach rodzący się we mnie - podobna sytuacja, podobne reakcje - zaciętość i upór.

Dwa razy wzywała mnie rozwścieczona Enkawudziстка na przesłuchanie. Ostatniej nocy, w niezwyklej, jak mi nie mam, wyreżyserowanej scenerii, w obecności oficera, który ustawicznie bawił się rewolwerem.

Nadepnęła mi na rękę , chwyciła za włosy, odepchnęłam ją wówczas całą siłą jaką miałam.

To ją doprowadziło do dzikiej pasji . Kazała mi znowu uśiąść na złamanym krześle, nie chciałam, co wywołało z jej strony krzyki, i posypały się wyzwiska pod moim adresem.

Przez kilka nocy powtarzały się podobne sceny, przestałam wreszcie odpowiadać na pytania, znęcała się doprowadzając raczej do dzikiej niepohamowanej furii , krzyczała, wszystkich was zaaresztują, wiedz, że mąż twój już nie żyje, nie myśl, że mił-
-czeniem ocalisz innych i siebie. Sam Sikorski was nie zbawi.

Nie wiem, skąd znalazłam w sobie siłę .

Oficer czyścił rewolwer, celował we mnie , rozładowywał, znowu czyścił i te czynności w nieskończoność powtarzał.

Ona zaś siedząc przy biurku pisała , czasem zapalali papierosy, rozmawiali półgłosem do siebie.

Żadnych pytań mi nie zadawali. Ona wychodziła na czas jakiś z pokoju, wracała - to znów oficer wychodził - niebawem wracał, zdawało się, moja obecność , tu całkiem nie potrzebna, przedłużała się do samego świtu.

Siedząc bez ruchu na krześle zapadałam w krótką drzemkę, w odrętwienie. Noc nieprzespana, dni bez wypoczynku niesłychanie męczyły i osłabiały wątłe ciało, ale nie ducha.

Miałam później przerwę - przez tydzień nie byłam wzywana, ale każdy szmer , kroki, odgłosy dochodzące spędzały sen z powiek.

Myśli zapełnione informacją śledczej o Bolku nie dawały spokoju, rozpaczałam, nie mogłam uwierzyć jej słowom, modliłam się gorliwie o jego ocalenie.

Nadzieja wstępowała we mnie, ale i prędzej mnie puszczała aniżeli tego chciałam. Wiele przeszkód i trudności stanęło na drodze naszego życia i uczuć - które przyszły niespodziewanie i w nieodpowiednim czasie. Pomimo to, ponieważ już miałam rozwód z Bohdanem Kolczyckim i nic nie stało na przeszkodzie, postanowiliśmy zawrzeć na razie ślub cywilny w Urzędzie Stanu Cywilnego, co też uczyniliśmy w obecności świadków naszych serdecznych przyjaciół Stefano ... i Zygmunto w dniu 7.8.1943r.

Stargane myślami , walką - złamane nieszczęściami , serce krę-
-pło a łzy wysychały.

Straszny cios w nas uderzył, przygniótł ciężarem z okrucieństwem siły.

W jednej z wielu następnych nocy znowu otwarło się okienko celi, pada pytanie na literę H- choć sama jestem w celi, odpowiadam nazwiskiem, dźwięk kluczy, szcęk zamku otwieranego. Każe wyjść. Idąc przygotowuję się psychicznie na spotkanie z nieznośną dręczycielką. Droga wydaje mi się jakaś inna.

Zatrzymana stoję przed drzwiami innymi, czekam z rękami wzniesionymi do góry, z twarzą odwróconą do ściany - znany to rytuał. Za chwilę wychodzi z pokoju strażnik wprowadza mnie do gabinetu.

Przy biurku zastaję oficera - funkcjonariusza NKWD. Każe mi siadać przed sobą na krześle oddalonym od jego biurka na ponad 1 m.

Rozpoczyna od typowych, tych samych pytań- personalia i tym podobne. Miejsce zamieszkania, ostatniej pracy itd itp.

Następnie oznajmia, że przed chwilą siedział na tym krześle twój mąż - wiadomość przyjmuję obojętnie bez entuzjazmu, z powątpiewaniem wiarygodności jego słów.

On starał się mnie przekonywać, mówiąc że prowadzi śledztwo naszej grupy czyli - Holka - Michała - Nuśki - i teraz mnie będzie przesłuchiwał aż zakończy śledztwo.

Znając różne posunięcia funkcjonariuszy tej instytucji wybiorą oskarżenia i kłamstwa - miałam wiele wątpliwości - kwitowałam więc udawaniem, aczkolwiek tym razem jego oznajmienie okazało się prawdą. Tej nocy na pierwszym u niego przesłuchaniu nie padło więcej żadnych poza już zadawanymi na początku pytaniami.

Przeczytał kilka najświeższych wiadomości z gazety o posuwaniu się Armii Radzieckiej z którą naprzód ramię w ramię kroczy Wojsko Polskie. Skomentował następnie o niedługim już pomyślnym zakończeniu wojny z akcentem, że nastąpi to bez naszego udziału.

Nie mogę przemilczeć zjadliwości komentarza, zareplikowałam że nasz

Takie to myśli mnie nawiedzały - nie wstydzę się swoich zwątpień. Od nich nie bronił żaden mur. Naloty wlewały otuchę, zbliżały do końca, chciałam żeby w ten gmach walnął niejeden pocisk - sprawa jaką nam los zgotował byłaby bez ich udziału skończona i nie długim już pomyślnym sposobem wojna zakończona z akcentem że nastąpi to bez naszego udziału.

Niezaprzeczalny wkład już włożyliśmy w pracę o Polskę, w konspiracyjnej walce z hitlerowcami.

Po powrocie do celi rozmyślałam, komu mam wierzyć. Pragnęłam wierzyć, że Bolka, Nuśkę i Michała również przesłuchują.

Z parodniowymi przerwami byłam doprowadzona do majora śledczego w nocy.

Jakoś nie podniósł na mnie głosu. Jego pytania za każdym razem wywoływały we mnie sprzeciw, oburzenie - dlaczego nie jesteście zadowoleni i wdzięczni z wyzwolenia was z pod okupacji hitlerowskiej?

Wówczas odpowiadałam - czy można nazwać wyzwoleniem nas i naszych ziem, jeżeli się niszczy obywateli prawowitych tego kraju w sposób bezprawny.

W roku 1939 zawarliście sojusz z naszym wrogiem i już wtedy współdziałając z nim niszczyliście, wywoziliście polskie społeczeństwo z rodzinami na wschód w głąb Związku Radzieckiego, na poniewierkę, na zgubę.

Wtedy, gdy Hitler nas niszczył w obozach, i pomimo napaści Hitlera na wasz kraj w 1941 roku - stając się waszym wrogiem, po wkroczeniu na ziemię naszą, znowu nas prześladowacie i niszcycie bezpodstawnie nie mając przeciw nam żadnych dowodów winy przeprowadzacie śledztwo.

Nadal stosujecie wobec nas taktykę prześladowczą i niszczyielską podobną niszczyielskim zamysłom hitlerowców.

Tak więc wróg naszych wrogów nie jest naszym sprzymierzeńcem, jak pozornie zdawać by się mogło i głosi się w świecie, lecz staje się naszym wrogiem. Bo przecież ani sprzymierzeńcy ani przyjaciele tak nie postępują.

Innym razem pokazał mi zdjęcia, te same co poprzedniczka jego śledcza-kobieta. Ci ludzie z fotografii nie byli mi znani - toteż zaprzeczyłam stanowczo wmawianym mi stwierdzeniom - jakoby miałam z nimi współpracować w wywiadzie czy jak określali

Miałam kilkudniową przerwę po której znowu wezwano mnie. Była to noc dla mnie fatalna - okropna.

Źle się czułam - okres dla kobiety przykry w normalnych warunkach, a co dopiero w warunkach skomplikowanych przy braku nie tylko materiałów opatrunkowych lecz i braku możliwości zabezpieczenia się z powodu pozbawienia wszelkich zapieć, gumek, podwiązek, agrawek czy guzików, choćby prowizorycznych opatrunków higienicznych.

Nikt nie jest w stanie zrozumieć, kto nie przeżył sam podobnych zdarzeń - uczucie wstydu i poniżenia. Stałam pełna upokorzenia

przed obliczem dwóch mężczyzn. Przytrzymywałam na sobie ubranie zdając sobie równocześnie sprawę, że nie jestem w stanie nie pozostawienia po sobie śladów.

Czułam na nogach ciepłe strugi. Rozmawiali ze sobą zciszonymi głosami rozbawieni prawie, być może, moim żalosnym wyglądem.

Byłam bardzo zdenerwowana, zapytałam, czy temu śledztwu nie będzie końca. Śledczy powiedział, że niebawem zakończy śledztwo i obiecuje po powrocie z urlopu z wyjazdu służbowego spotkanie z Bolkiem.

Za każdym razem mojego przesłuchania śledczy wspominał o Bolku, przed chwilą był albo, że będzie przesłuchiwany za chwilę. Mówił, że interesuje się, że pyta o moje zdrowie, że powiedział Bokowi, że jestem w szpitalu, co nie było prawdą. Zapytałam, dlaczego powiedział mi nieprawdę, przecież w żadnym szpitalu nie jestem, tylko w więzieniu. Analizując i kojarząc jego różne wypowiedzi trudno było wierzyć w prawdomówność.

Nie traciłam jednak nadziei podsycanej za każdym razem przez śledczego wypowiedziami w jednym zdaniu wtrąconym między innymi, które wyławiałam nie tracąc nic z ich treści, które mogły mi nadal dodać otuchę i nadzieję.

Jeszcze raz byłam wezwana przed oblicze śledczego, jak mogłam domyśleć się przed wyjazdem w czerwcu.

Wówczas przeczytał jakiś wycinek z gazety o Katyniu - zapytał: "co o tym myślę" Kto to mógł zniszczyć tylu Polaków przeważnie oficerów. Zachód czyni zarzuty, że władze radzieckie rozstrzelać kazały, przecież to absurd - wszak tylko hitlerowcy byli zdolni uśmiercać masowo ludzi.

Wówczas powiedziałam, że dziwię się stawianiu podobnych pytań mnie, więzionej, odizolowanej, pozbawionej wszelkich kontaktów, dostępu wiadomości ze środków masowego przekazu. Sądzę, że Wam będącym w "kursie dzieła" - znane są tego rodzaju przestępstwa i wykonawcy.

Zastanawia mnie, skąd się znalazło tyle tysięcy obywateli i oficerów polskich. Przecież to chyba byli jacyś jeńcy. I Armii Polskiej im. T. Kościuszki. Zapytał mnie również o moje kontakty z Michałem i tym razem powiedziałam prawdę, że go wcale nie znam i żadnych kontaktów nie miałam ani konspiracyjnych, ani towarzyskich.

O Bolku i o Nusi zupełnie nie pytał, o naszych powiązaniach i działalności konspiracyjnej. Dość długo, jak mi się wydawało, trwała przerwa - nie wzywano mnie - nie wyprowadzano na spacer, od pamiętnego dnia 15 października. Natomiast w międzyczasie wpuszczono do mojej celi kobietę młodą lat około 30 - 32 z małym zawiniątkiem - w którym znajdowały się, ręcznik, mydło, jaja, chleb, grzebień i sól. Mówiła, ^{ze} jakoby przeprowadzili ^o z "karceru" bo zakłócała spokój, buntowała się, nie mogła dłużej być w samotności, boi się obłądu.

Przed chwilą otrzymała paczkę z domu.

Ponieważ była w karcerze, dostarczoną przez rodzinę paczkę oddała, dopiero przed przyjściem do celi, chciała mnie poczęstować, ale podziękowałam, nie odczuwałam głodu. Wzywano ją jakby na przesłuchanie, ale zawsze w dzień, co mnie, znającą rygor tego więzienia, zastanawiało. Przez parę dni przebywała ze mną - później ją zabrali.

Wbrew prawdopodobnie jej oczekiwaniom i zamierzeniom nie byłam rozmowna. Przyzwyczyłam się do swojej samotni. Nie miałam do niej zaufania, nie byłam skora do rozmów.

Pomimo to zachęcała mnie wszelkimi sposobami aż do natręctwa, tak jednak przemyślane, że o sobie mało mówiła dociekliwie wypytywała o mnie.

Później, gdy zdobyłam większe doświadczenie na punktach rozdzielczych, obozach tranzytowych miałam możliwość dowiedzieć się o tzw. "nasietskach" czyli podstawionych szpiegach do celi mających za zadanie wciąganie do rozmów, wiedząc, że współwięźniowie są ze sobą szczerzy i skłonni do zwierzeń.

Z rozmów takich preparowano fałszywe oskarżenia, szczególnie po dłuższym pobycie w samotności snujące zaczepny temat.

Przekonałam się wówczas o słuszności swojego postępowania i ostrożności w stosunku do osób nie budzących zaufania.

Już listopad - marzną mury grube, w celi zimno. Nie wzywają mnie na przesłuchanie. O Bolku i Nusi nic nie wiem, czy w dalszym ciągu znajdują się obok mojej celi.

Strażniczki nic nie mówią, zmieniają się coraz to inne twarze. Raz dziennie wyprowadzają mnie samą do ubikacji pod strażą i z powrotem.

Nikogo w tym czasie nie wypuszczają z innych pomieszczeń.

Gdzieś na początku trzeciej dekady listopada wezwano mnie przed oblicze śledczego majora.

Stałam dość długo przed drzwiami zanim strażnik wpuścił mnie do gabinetu.

Zauważyłam po prawej stronie stojące w dwa rzędy - cztery krzesła zwrócone w stronę biurka przy którym siedział śledczy.

Na środku pokoju stał mężczyzna w płaszczu, szczupły blondyn łysawy z długimi włosami, bardzo mizerny.

Gdy wchodząc zrobiłam parę kroków ~~w~~zaledwie do przodu - jakby zastępując mi drogę postać rozchyliła poły płaszcza i marynarki swojej. Ten znany mi dobrze odruch Bolka pełen wyrazu opiekuńczy, stosował w trudnych chwilach naszego życia, był zawsze dowodem niezmiernych głębokich tkwiących w nas uczuć.

W tych niezwykłych okolicznościach naszego nieoczekiwanego spotkania nabrało szczególnego znaczenia - wyrazu - i wymowy po wielu miesiącach rozłąki, trwogi o życie i bezpieczeństwo wzajemne, a gest Bolka stał się środkiem rozpoznawczym bowiem odmienionego, nie do poznania przez wąsy, wychudzonego, bladego o oczach jakby barwy błękitu - nie mogłam poznać od razu.

Nie zwracając uwagi na obecność śledczego wtuliłam się - jak zwykłam to czynić - w otwarte ramiona Bolka. Wzruszenie ścisnęło w gardle - więc jest, żyje, wbrew wszelkim kłamstwom. Wtulona słyszałam bicie jego serca.

Śledczy, ~~Majorów~~^wMajorów, wstał - wydał mi się jakoś inny w swoim zachowaniu - powiedział obiecałem wam widzenie - spotkanie całej czwórki.

Pozwolił nam na rozmowę, parominutową. Niebawem wprowadzono Nusię, a następnie Michała, którego nigdy przedtem nie spotykałam, tylko ze słyszenia. Zasiadliśmy na krzesłach - śledczy odczytał jakiś protokół, którego treści ze wzruszenia wtedy nie dość zrozumiałam, jedynie zapadło mi oskarżenieartykuł 54 absurdałne.

Bolek, jak zwykle nieustraszony, odważny, dociekliwy zadawał pytania, aż zapytał, co wy w końcu z nami zamierzacie zrobić? Powiedział, że oni prowadzą dochodzenie - wyroki wydaje Moskiewska^u osoboje Sowieszczanie - tak zwana trójka.

Prawdopodobnie będziecie w obozach pracy, jak skończy się wojna, powrócicie do domu do swojego kraju. Pozwolił na chwilę ogólnej rozmowy ze sobą. O czym można w tej sytuacji rozmawiać, gdy myśl chaotycznie pracuje, uczucia przepełnione niepokojem, do ust cisną się słowa, pytania, wypowiedziane oględnie, stają się jakby pustym dźwiękiem. Nic od nas nie było zależne pytania pozostawały bez odpowiedzi. Najcenniejsze, najwymowniej-
-sze były nasze spojrzenia, niewypowiedziane myśli i uczucia. Znajdowaliśmy się pod jednym dachem, rozdzieleni murami. Tak bardzo sobie bliscy, byliśmy rozdzieleni od siebie, pełni niepokoju.

Dziś wyjątkowe spotkanie leczył słowami wzroku i optymizmu mój pesymizm, który ^{caż} nie usiłowałam nawet ukrywać. Dodawał otuchy nam wszystkim, był bardzo opanowany, emanowała od niego męska wola i postawa. Nieznacznej ulgi doznaliśmy po zakończeniu śledztwa wreszcie po tych potwornych nocach pełnych udręki.

Przed nami stawała zarysowująca się koszmarna przyszłość, którą w najpesymistyczniejszych przypuszczeniach przewidzieć nie byliśmy w stanie. Spotkanie miało się już ku końcowi. Stopniowo wyprowadzano nas do celi, pierwszego Michała, następnie Nusię. Żegnałyśmy się z sobą życzliwie, czule wiele nas z sobą łączyło, choć dzieliły nas mury i straż. Później Bolka zabrano. Widziałam go jeszcze z okna idącego pod strażą przez podwórze. Obejrzał się, zdjął czapkę, ukłonił się spoglądając do góry, jakby wiedział, z którego okna mogłam go widzieć. I ja wróciłam do swojej samotni, ale nie byłam samotna.

W dniach już następnych, które były długie, trudne dni, tygodnie i miesiące dręczącej rozłąki, odosobnienia nie czułam pustki - myśli, uczucia, serce były wypełnione losem Bolka, losem współtowarzyszących niedoli ogarniałam wszystkich znajdujących się w tych kazamatach, sercem współczującym, bolesną troską, wiedzą beznadziejności swojej.

Po kilku dniach przeniesiono mnie do celi, gdzie znajdowały się trzy kobiety. Były bardziej •byte ode mnie - nowicjuszki.

Miały szczególny wyraz twarzy, cechujący bezwzględność, sta-
-nowczość, upór.

Miały swój sposób bycia, nieufny, nieustępliwy, właściwy tylko chyba mieszkańcom tego kraju.

Jedna z nich była ogromnie przygnębiona, ustawicznie płakała zwierzała się że śledczy miał jej oświadczyć , że zostanie skazana na krę śmierci - niebawem otrzyma wyrok i będzie przeniesiona do specjalnej celi. Pozostałe były również po zakończonym już śledztwie. Podobnie jak nasza czwórka i albo będzie sądzone tu w Kijowie, albo dostaną zaoczne wyroki.

Nie pytałam, o co były oskarżone , same nie mówiły , a mnie nie interesowało i wydawało się nawet nietaktowne wypytywać. One natomiast mnie wypytywały, skąd ja jestem, za co, o co oskarżona, dlaczego? Coś nie wiele mogłam powiedzieć, bo faktycznie sama nie wiedziałam .

W rozmowie operowały paragrafami, artykułami oskarżeń, jak dobrze obeznane z kodeksem prawniczym.

Początkowo przyzwyczajona przez szereg miesięcy do swojej samotności, źle się przy nich czułam, ale zainteresowanie moje tym nieznanym mi otoczeniem, ich psychiką zaczęło wzrastać.

Z politowaniem, jak mogłam zauważyć, przyglądały się i obserwowały mnie milcząca. Przeszły przez wiele więzień, pouczały, dawały wskazówki i rady na dalszą drogę tego niepewnego

Ostrzegały przed prowokacjami, kradzieżami w etapach, w więzieniach w tym niezwykłym państwie ponurej anegdoty. W rodzaju nie dawanej wiary nikomu, ponieważ więźniarkami jest dużo donosicielek. Mając nawet wyroki przy odbywaniu kary otrzymać jeszcze można wiele wyroków zaocznych, dodatkowych bez dochodzenia tylko na podstawie fałszywych doniesień, bez udziału i możliwości obrony poprostu zaocznie.

Wszystko to przerastało moje pojęcie , słuchałam z niedowierzaniem , przerażeniem.

W dniu następnym zabrano z celi naszej kobietę spodziewającą się wyroku śmierci.

- 3 -

Pozostało nas trzy . Przez czas przebywania z nimi nasłuchiwałam się z ich rozmów o wyrokach śmierci, sposobie wykonywania . Uważały, że jest przeznaczona dla tych, co już po wyrokach, ale nie wszystkie o tym wiedzą. Opowiadały, że na dole są garaże i o północy zazwyczaj odużają spalinami skazanych, następnie wykonują egzekucję.

Istotnie, słychać było w porze nocnej zapuszczanie silników - hałas - nawoływania głosów męskich, nawet śwąd silników często dochodził do celi.

Wszystko, co słuch mój wrażliwy wykawiał, potwierdzało opowiadanie współwięźniarek i pobudzało moją wyobraźnię.

Niebawem zgrzytnęły klucze, strażnik tym razem przyszedł po mnie. Kazał zabrać rzeczy. Przekonana niemal pod wrażeniem opowiadań i swojej wyobraźni, że to ostatnia moja droga, stałam nieruchoma, chciałam pozostawić swoje rzeczy, bo i pora nocna na to wskazywała, że czas na mnie przyszedł i nic, co miałam, nie będzie mi potrzebne.

Kilka razy strażnik nakazywał zabrać, związać swoje rzeczy i wyjść z celi. Nie usłuchiwałam, byłam już sparaliżowana. Zniecierpliwiony z krzykiem i potokiem słów wulgarnych, przy pomocy kobiet, związał i zabrał moje rzeczy, niósł.

Prowadził mnie przez kazamaty słynnego więzienia na

ogarnęło mnie drżenie, potem obojętność owładnęła mną, chciałam, by prędzej nastąpiło zejście z ostatniego schodu.

Życie wydawało się być skończone, z uczuciem szczerości i bez-nadziejności oczekiwałam w trwodze na swój następny bezwład i drżenie, by jaknajszybciej przeminał ostatni próg życia.

Idąc przez korytarze wyłaniały mi się z pamięci wydarzenia w rodzinie, tak niesłychanie często przeżyte w dziewczęcym moim wieku, zapamiętałam na całe życie, widać czarny los zawziął się nad całą naszą rodziną i mnie nie ominęło.

To los wielu rodzin naszego udręczonego narodu - ustawicznie powtarzający się w naszej historii. Dwaj moi bracia Adam 26 lat magister farmacji i Leon 17 letni uczeń gimnazjum - obydwaj należeli do POW aresztowani we wrześniu 1949 r.

Znajomy lekarz, który był razem z nimi do ostatniej chwili, a także kolega Leona, któremu udało się uciec w drodze na przesłuchanie i ten szczęśliwy sposób podjętego ryzyka uszedł śmierci - opowiadali Matce mojej i mnie jak zabierali ich na stracenie.

Wyroki wykonywali zazwyczaj o zmroku lub przed świtem w ogrodzie, na który wychodziły okna celi.

Więźniowie słyszeli zazwyczaj strzały, a z okna czasem widzieli egzekucję, zazwyczaj idących skzanych w stronę altanki, kosili kulami pistoletów od tyłu.

Obaj wychodząc z celi byli opanowani. Teraz na mnie kolej - przypomniałam sobie słowa Adama do mnie kierowane "bądź dzielna, może długo nie potrwa" Bolek, co z nimi, Nusia - tacy młodzi. Nie, to być nie może rozpoczynam modlitwę, urywają się słowa chaotyczne - nie mogę się skupić, nie znam tej drogi, gdzie strażnik mnie prowadzi. Nagle wyprzedza mnie - każe się zatrzymać przed drzwiami. Staję pod ścianą - zgrzyt klucza w zamku, otwiera, wrzuca moje rzeczy i każe mi wejść do mrocznej celi.

Znowu jestem sama, a więc zapewne jestem w celi dla skazanych. Czułam w ustach gorycz, głowę rozsadały nadmiar ciężkich, splątanych myśli

Czego hitlerowcy nie dokonali na nas, ocalałych z pod okupacji, dokonują ich byli sprzymierzeńcy. Położyłam się na prycy, ale nie spałam i wyczekiwałam na coś, co ma nastąpić, jaki to będzie ciąg dalszy nieskończonego epizodu dziwnego - nie dawały spokoju. Wyczekiwanie ustępowało, owładnęło mną odrętwienie i obojętność.

- 75 -

Dni stały się krótkie, w celi panował ustawicznie mrok. W taki dzień listopadowy, po obiedzie, tym razem wywołano mnie z celi z moimi rzeczami. Sprowadzono na parter. W kancelarii spotkaliśmy się razem w komplecie: Nusia, Bolek, Michał i ja. Oddano nam zabrane przy rewizji drobiazgi, wsadzono do tzw. "czarnego worona", specjalnej karetki do przewożenia więźniów, przewieziono nas razem do innego więzienia w Kijowie zwanego "Łukjanówką".

Kolejno wprowadzano do kancelarii, poddawano ścisłej rewizji odbierano kosztowności i inne drobiazgi, z szykanami rozbierania się do naga, żeby nie było wątpliwości ewentualnego przechowywania czegoś w ukryciu, w im tylko znanych miejscach, pomimo że przewieziono nas z więzienia bezpośrednio, gdzie ustawicznie byliśmy pod strażą i obserwowani.

Wyprowadzano z kancelarii pojedynczo, rozdzielano nas, żegnaliśmy się ze sobą, na jak długo znowu?

Mężczyzn zabrali, a nas, mnie i Nusię, razem. Jeszcze chwila, w korytarzu staliśmy razem, byliśmy roztargnieni, niezdolni do logicznych rozmów, padały urywane pytania - Bolek podtrzymywał nas na duchu.

Wspaniale się trzymał psychicznie, być może nas krzepił na duchu, wlewając nadzieję, że już nie długowojna się skończy, wrócimy do Ojczyzny i swoich bliskich. Ta nadzieja spotkań wielkie miała znaczenie, ale rozłaka była bolesna.

Rozważałam, analizowałam nowy bieg wydarzeń naszej sytuacji.

Stopniowo ustępowały moje pesymistyczne myśli koszmarnych przeżyć, urojonych wyroków śmierci, do czego nawet przed sobą nie chciałam się przyznać. Nie podzieliłam się, nie przyznałam przy wspólnym spotkaniu Bolkowi tą absurdalną swoją chorą wyobraźnią podbudowaną przez celowe sposoby wyreżyserowanej inscenywacji więziennego reżimu z udziałem więzionych ofiar.

Rozstałyśmy się ze swymi druhami. Nusię i mnie odprowadzono do łazienki. Po raz pierwszy zostałyśmy poddane higienicznym zabiegom przez mężczyzn. Na nic nie zdały się protesty i oburzenie nasze bez granic. Stosowane zabiegi higieniczne były obiczone na poniżenie godności kobiecej i upokorzenie.

Po skończonym rytuale kąkani i dezynfekcji wszystkich należących do nas rzeczy osobistych, zaprowadzono nas do celi wielkiej wypełnionej po brzegi leżącymi i siedzącymi w szeregach kobietami.

W jednym z takich szeregów dwie niewiasty wskazały nam miejsce obok siebie życzliwym gestem. Wyglądały sympatycznie, obie były siwiuteńkie, aczkolwiek twarze możnaby określić na 42-45 lat.

Będąc w ciasnym szeregu zwartym - zmuszone byłyśmy obracać się z boku na bok wszystkie naraz. Idąc za potrzebą do kubła zwanego "parasza", stojącego w rogu celi, trzeba było z wielką ostrożnością poruszać się przestępując przez leżące niewiasty, żeby nie zdeptać którejś, co było prawie nieuniknione.

Któraś na drodze stawała się zawsze ofiarą w jakimś stopniu nagradzała wyzwiskami. Najgorsze miejsce było obok "paraszy" - powietrze zatrute i ustawiczny niepokój zawsze któraś z kilkudziesięciu kobiet choćby raz w nocy musiała odwiedzić kąk, a jeszcze gorzej, gdy któraś miała biegunkę lub zaziębiony pęcherz, co się zdarzało, nie mogły utrzymać moczu.

Nusia stawała się coraz bliższa mojemu sercu. Bolałam nad jej losem, który z nami ją związał. Obie poznawałyśmy ludzi, psychikę tych nieszczęśliwych kobiet. Dowiadywałyśmy się, za co siedzą.

Nawiązywałyśmy rozmowy z intelektualistkami, zapoznałyśmy się z Rosjanką Olgą Dymitriewną, jak też z innymi kobietami różnego pokroju i poziomu umysłowego. Twarz Olgi dobrze pamiętam, młodą, ciekawą, inteligentną w rozmowie. Wygląd zewnętrzny, włosy siwiuteńkie, gęste ładnie układające się,

Była ponoć córką pułkownika z carskiej armii. Całą liczną rodzinę zniszczono. Dowiedziałyśmy się, że siedziała w celi z panią J. Bucz,^{Łacyniska, I} poznałyśmy ją i zaprzyjaźniły się. Wszyscy, tj. p. J. i jej dwaj synowie, mieli śledztwo, nie znali jeszcze wyroku. Jeśli spotyka się takie osoby, wyróżniają się z tłumu, mają szersze spojrzenie, można od nich dowiedzieć się wielu rzeczy i przeżyć ludzkich, o jakich w żadnej książce się nie przeczyta, co zresztą zostało potwierdzone w naszej dalszej tułaczce, w życiu więziennym, obozowym i na zesłaniu.

Z różnego pokroju osobami nawiązywało się rozmowy - poznawało ich dramaty. Były między nami żony wielkich dygnitarzy administracyjnych i partyjnych. Aresztowane razem z mężami, przez czas jakiś wspólnie z nimi /w drodze wyjątku/ w jednej celi więzione

opowiadały, że zachowując swoje własne oblicze i ideały nie mogą zejść z prostej uczciwej drogi. W ten sposób swoim postępowaniem narażali się, przez co zostali usunięci. Aresztowani jako wrogie elementy. Spreparowano im sprawy dostosowane do odpowiednich artykułów, wydając wyroki. Rozdzielane zostały następnie małżeństwa a rodzicom ^{odebrane} dzieci, względnie dzieciom rodzzeństwo.

Kazano oficjalnie wyrzekać się jako przestępców, chcąc nadal pracować pozostawać na stanowisku i w partii. Odtąd rodziny nie wiedzą, gdzie przebywają skazani i czy kiedykolwiek las ich połączy. Opowiadała mi kobieta, pracownica kołchozu, że żyją w biedzie mając kilkoro dzieci na utrzymaniu.

Nie mogła ^{ich} wraz z mężem wyżywić, rodzice nie mieli swojego pola ani ogrodu, tylko pracę za marną opłatę.

Jesienią po zbiorach wyszła z dziećmi na pole, by pozostałe po żniwach kłosa pozbierać, za co została skazana na 8 lat obozu pracy.

Nawet wyraziła zadowolenie z takiego obrotu sprawy, ponieważ dzieci zostały umieszczone w sierocińcu, a przecież ona nie była w stanie zapewnić im utrzymania.

Innej zgoła inaczej wydarzyło się - była matką dwojga dzieci, nie miała męża ani rodziny, pracowała w kołchozie, źle zarabiała, wciąż upominała się dyrekcji o swoje racje, motywując, że ciężko pracuje, mało zarabia, nie może dzieciom zapewnić utrzymania itp.

Dyrektor zaproponował jej pracę agitatorki- propagandzistki, co miało polegać na wyjazdach w teren na zorganizowane zebrania, ponieważ jest elokwentna, potrafi przekonywać ludzi chwalać władzę, agitować. Praca nie ciężka, wyjazdy nie złe, jakieś tam wynagrodzenie. Otrzymała komandировki /delegacje/i oczywiście gotowe napisane przemówienie, które miała nauczyć się na pamięć, zostawiła więc swoje maleństwa w domu, jeździła gorliwie nawołując, przemawiając. Ponieważ często napotykała na trudności komunikacyjne, a także trudności z organizowaniem zebrań w terenie zmuszona była późno wracać do domu. Zastawała dzieci wygłodzone, w opłakanym stanie, nie mogła sobie poradzić w ustawicznym niepokojem o los dzieci zamkniętych w domu, wzrastał jej niepokój.

Wygłaszając chwalebne dziękczynienia wyuczone na pamięć na cześć władzy i partii, która zapewnia dobrobyt rodzinom itd.

Przekonała ^{siz} jak kłamliwe są te słowa nie mające pokrycia w rzeczywistości. Stojąc w jednej ze szkół, gdzie miało miejsce zebranie, na podwyższeniu żarliwie przemawiała, chwalać władzę, nie istniejące dobrodziejstwa, a myśląc o swoich zaniedbanych, biednych dzieciach, dostała hysterii, wybuchnęła skandując już nie swoim głosem z patosem i rozpłakała się głośno szlochając, a słowa wydobywające się nie miały bynajmniej znaczenia i czci i uwielbienia dla władzy.

Wezwano natychmiast milicję, w tym towarzystwie opuściła zebranie, więcej swoich ^{ich} maleństw nie widziała

Inaczej wydarzyło się innej - będąc już na emeryturze wraz z mężem mieszkali nad sławną rzeką, którą mogła dopłynąć do miejsca zamieszkania swojej córki zamężnej, którą w lecie pragnęła odwiedzić. Kupiła bilet na statek do miejscowości dość odległej - podróż miała trwać kilka dni. Pożegnała się z mężem - odjechała. Na statku zaproponowano jej z braku personelu, żeby pomagała w między/czasie w kuchni przy sporządzaniu posiłków, obiecując wyżywienie i jakąś tam zapłatę, na co chętnie przystała.

Byli zadowoleni, obsługa statku i ona, gdy statek dobił do przystani, gdzie miała wysiąść i zamierzała to uczynić, oznajmiono jej, że musi jeszcze pozostać i zrobić jeszcze rejs powrotny, bowiem wymaga tego sprawna praca na statku. Niechętnie zgodziła się jeszcze na jeden rejs do miejsca swego zamieszkania i z powrotem. Związana ze swoją pracą tak przykuwającą do statku nie mogła nawet w miejscu zamieszkania zobaczyć się z mężem, aby powiedzieć, jak się uwickłała. W drodze powrotnej po pracy w kuchni zdenerwowana niemożliwością urzeczywistnienia swoich zamierzeń narazie - przechadzała się po statku i weszła do wyludnionej o tej porze świetlicy, gdzie stał stół bilardowy i zaczęła przerzucać kule na stole. W pewnym momencie spadł ze ściany oszklony, duży wiszący portret Stalina - szkło tłucze się w drobny mak. Hałas zwabia służbę. W najbliższej przystani zostaje aresztowana pod zarzutem znieważenia przywódcy, generalisimusa i z miejsca dostaje 10 lat przymusowych obozów pracy.

Do córki nie dojechała, z mężem się nie widziała. Jak twierdziła, nie wie, jak się to stało - nie jest pewna, ale ma przeświadczenie, że nie ruszyła kijem portretu. Sznur, na którym wisiał portret, był zerwany, ją tylko zastali w świetlicy z kijem w ręce i rozbity portret, a więc na gorącym uczynku. W celi naszej ruch nieustający jednych wprowadzano do celi, rozglądając się nieśmiało.

Dwa razy jedynie grupami wyprowadzano nas do ubikacji.

Można jako tako umyć się nawet. Niebawem wyprowadzano Olgę Dymitr^{ienka} z rzeczami, a więc do etapu zapewne. Rozstałyśmy się życząc sobie wzajemnie lepszego losu. Korzystając z ruchu w celi zmieniłyśmy z Nusią miejsce bliżej drzwi. Obok nas miały miejsce dwie młode Rosjanki zaprzyjaźnione z sobą z Kijowa, były urodziwe. Jedna była jasno blond, miła, na imię Lena, druga Galina szatynka smagłej karnacji, wyraziste, szare oczy. Obie miały nie więcej niż 20 - 22 lata. Były bardzo przyjazne, życzliwe w stosunku do nas. Szczególnie z Nusią miały wiele sobie do powiedzenia. Nie znałyśmy ich sprawy, powodów, z których znalazły się w więzieniu, nie dopytywałyśmy się, a one same nie wyjaśniały.

Wyjątkowo wyróżniały się sposobem bycia, były inteligentne, odcytane, bardzo subtelne, przez co wyróżniały się z pośród innych.

Rotacja celi ogromna, wprowadzano między innymi jakąś Francuzkę, która dobijała się do drzwi żądając czegoś. Nie znała języka rosyjskiego. Nie mogła dogadać się ze strażnikami - czegoś żądała, szukała, otworzono, wołczak¹¹, a ona w bezładnych gestach napróżno tłumaczyła w swoim niezrozumiałym dla strażnika języku, aż wreszcie rozwścieczony obrzucił ją obelgami, jakimś lud rosyjski zwykł stosować w swojej przekonywującej mowie potocznej.

Wtedy usłyszałam przez nią wykrzyczane dwukrotnie słowa
.... gore - gore ! ze znajomość ?

Zdumiona byłam tą dziwną jej reakcją ... użyciem nazwiska literata o czym napewno wiedziała - uważała widocznie, że tak twardo brzmiące słowa w jakiś sposób podziękują na

niego a przez

..... Pewnego dnia będąc w ubikacji Nusia wskazała na okno usytuowane prawie na ukos pod kątem załamania murów. W otwartym oknie ujrzałam Michała i Bolka. Ponieważ nas było kilkanaście naraz,

nie chciałyśmy rozgłosu. Pokiwaliśmy sobie wzajemnie tylko. Po powrocie do celi zdecydowałyśmy codziennie pozostawiać z racji otrzywanego chleba $1/3$ część dla naszych panów wymi-
-zerowanych. W ten sposób każda z nas miała nagromadzoną jakąś tam porcję chleba zaoszczędzonego, który przywiązywałyśmy do żelaznego drąga, z ubikacji podawaliśmy przez otwarte okno do okna naszych panów. Trwało to aż do chwili przeniesienia ich do innej celi.

Znikli nam ² pewnego dnia, nie wiedziałyśmy, co się stało. Wkrótce jakoś potem wezwano nas do innej celi, w której tylko prze-
-nocowałyśmy, w dniu następnym przewieziono nas razem z Bolekiem i Michałem, na dworzec kolejowy.

Długo wyczekiwaliśmy na dworcu na załatwienie widocznie formalności, mogliśmy jednak ze sobą porozmawiać. Nikt z nas nie wiedział, dokąd nas zawiozą. Bolek i Michał mieli jakieś wiadomości o Adamie. Jakoby został jeszcze z kimś skazany na śmierć.

? ^{Baczysławscy}
Baczysławscy byli jakoby również sądzeni i otrzymali wyroki. Pani Jadwiga 10 lat, syn Julek 10 lat i młodszy Tadeusz 5 lat
•obozów pracy. Jest już zima, grudzień marzniemy stojąc na murawie.

Bolek mizerny, bardzo martwię się o Niego, ma wrzody na szyi. Co nas dalej czeka? Załadowano nas nareszcie do wagonów. Trudno ustalić, jak długo trwała nasza podróż, chyba kilkanaście godzin, bo i na bocznicę odstawiano nasze wagony. Mężczyźni je-
-chali oddzielnie, my z Nusią w innym przedziale. Przywieźli nas do Charkowa. Na stacji znowu nasza czwórka spotkała się.

Odwieziono nas ciężarówymi samochodami do ogromnego więzienia. Znowu podzielono, poddano znanemu rytuałowi ² : łaźnia, golenie, dezynfekcja rzeczy.

Niebawem znalazłyśmy się w olbrzymim pomieszczeniu, bardzo wysokim częściowo u góry oszklonym, jakby hala z galerią dookoła, z metalowymi schodami.

Formalnie wrzało tam wszystko - trudno obliczyć, ile tam kobiet znajdowało się - kilkaset napewno. Nie było skrawka wolnego miejsca. Znalazłyśmy się na schodach początkowo, a potem przeniosłyśmy się w głąb na piętro, ponieważ było bardzo zimno na żelaznych schodach.

Takie widowisko rozszerzyło nam horyzont myślowy, pole widzenia jakiegoś okropnego zamkniętego losu ludzkiej niedoli, gdzie siła nad prawem dominuje.

Wiemy, że Rosja miała i budowała dużo więzień i teraz nie straciła ze swej aktualności pod tym względem a przepełnienie tych pałaców świadczy o ucisku i terrorze daleko posuniętym.

W ciągłym ruchu przesuwało się mnóstwo twarzy wynędzniałych kobiet z różnych stron obszaru i poza jego granic. W tym młynie, gdzie rozmawia się między sobą i opowiada z całą szczerością, można wiele dowiedzieć się, przeczyć oczy, lepiej zrozumieć, co się z tobą i dookoła ciebie dzieje.

Że może coś dowiesz się od kogoś o losie najdroższego lub bliskiego człowieka .

W dniu następnym najniespodziewaniej znalazła nas Olga poznana w więzieniu w Kijowie na ^{Ki} Łu anowce.

Serdecznie przywitałyśmy się, jak dobre, oddane znajome. Przywiozła nam kawałek chleba, już nie pamiętam co jeszcze, i powiedziała "prze-cież macie wigilię Bożego Narodzenia" - wiem, że macie zwyczaj dzielić się opłatkiem, jest to Wasza tradycja, chleba jeszcze nie otrzymałyście. Podzielcie się chlebem, który Wam przyniosłam. W ten sposób dowiedziałyśmy się, że był to dzień 24 grudnia 1944 r.

W tym dniu faktycznie chleba jeszcze nie otrzymaliśmy, ponieważ wczoraj dopiero nas przywieziono - dostaliśmy tylko zupę z trulki - małej rybki ze zgnitą kapustą czyli zupę "Bałanidę".

Wzruszające są takie spotkania z chlebem, szczególnie w dniu Wigilijnym, miało się dowody bezinteresownej dobroci ludzkiej, która wychodziła z otwartymi ramionami naprzeciw. - nigdy niemożliwa.

Okazuje się, że Olga codziennie krążyła po wszystkich zakamarkach dostępnych tego obszaru pomieszczeniach poszukując znajomych. Postawiła sobie za zadanie wszelkimi sposobami w sobie dostępny sposób pomagać swoim towarzyszom niedoli.

Wieczorem z Nusią połamaliśmy się chlebem z braku opłatka według tradycji - myśli nasze popłynęły do najbliższych z życzeniami ze wzruszeniem.

Nasze myśli - jedna sfera, do której nikt zmotoczenia, ani władz więziennych nie miał dostępu - odwracały uwagę od przeżywanej niedoli, od rzeczywistości, co miało wtedy niesłychane znaczenie. Przeżycia osobiste są niepodzielne. Można cierpieć na oczach świadków, opanowując się tak daleko, że istota przeżycia pozostaje w głębi, w sobie nieprzekazywalna. Myśli moje były przy Bolku, gdziekolwiek był, myśli moje pokonywały najdalsze przestrzenie. Tragiczna jest nasza rozłąka. W jednym budynku, a nic o sobie nie wiemy. Czy Bolek i Michał wiedzą, że dzień Wigilijny, być może kto skrupulatnie prowadzi kalendarz, napewno im powiedziały. Tu ludzie przeważnie są rozmowni. Wiele dni przebywaliśmy na tych schodach, na korytarzach, galeriach bowiem takie ilości ludzi więzienie nie było w stanie pomieścić. W celach było wielkie mrowisko ludzi zabiedzonych, brudnych, wynędzniałych. Ustawiczne to kłębówisko przemieszczało się albo na skutek przypadkowo odnalezionych przyjaciół, znajomych, a nawet czasem spotkań krewnych, bądź też opustoszałe miejsca po zebranych do etapu ludzi, pozostali poszuliwali

dogodniejszych miejsc, w jakimś zacisznym miejscu, żeby nie być zdeptanym na przejściu, nie być tratowanym, narażonym na zniszczenie swoich dostatecznie zdeptanych ubrań. Kilka tygodni trwały te przesuwania się w górę po schodach, gdzie było znacznie cieplej. Gorzej natomiast przedstawiał się podział chleba gorącego i wnętrza zapobiegliwi potrafili otrzymać dwie porcje chleba, a ktoś płakał, że nie otrzymał wcale. Pamiętam będąc w celi jedna starsza bardzo wygłodzona otrzymując swoją porcję chleba odbierała ze łzami twierdząc, że jej dają małe porcje, z miejsca zjadała i przekonywała wszystkich, że inne jeszcze mają, bo dostały więcej, ona natomiast małe kawałek, który od razu zjadła. W tej ciasnocie oblewały się zupami, zanim doniosły do swojego miejsca. Zwłaszcza, że posiłki gorące dostarczano raz dziennie wieczorem. Przy nędznie świecących żarówkach, a nawet kaganku.

W tym więzieniu po raz pierwszy usłyszałam dziecięce głosy wołające chleba i stukające w drzwi celi, chóralne to było wołanie i wzbudzające dreszcz od pięt po czubek głowy. Pod wysokim sufitem latały ptaki, zapewne dostały się przez rozbite szyby. Nie wiem tylko, czym się żywiły, trafiły bowiem na teren głodujących. Tu żadna najmniejsza okruszyna nie zmarnowała się, nikt nie mógł pozwolić sobie na wypuszczenie jej z rąk przy jedzeniu. Ponieważ nieregularnie, nie codziennie otrzymywaliśmy chleb, jadliśmy szczypiąc okruszynkami, by jaknajdłużej czuć jego smak, zagłuszyć głód, nie dopuszczając do głodowych skurczów i nadkwaśnego wydzielania śliny. Osobiście nie odczuwałam tak dotkliwego głodu, jaki mogłam zaobserwować u innych, bolałam na d. Nusią, która często kładła się na brzuchu, co mogło sprawić jej ulgę w cierpieniu. Obrastałyśmy w brud, do łaźni i dezynfekcji rzadko nas prowadzano, nie miałyśmy mydła. Napewno były trudności w związku z nadmierną ilością uwięzionych. Toteż nękały nas oprócz głodu choroby więzienne: świerzb, wrzody

i, wszawica. Przynosiły nam maść pielęgniarki od czasu do czasu, ale to była kropla w morzu potrzeb. Trudno było utrzymać higienę bez mydła i dostatecznej ilości wody, bielizna stawała się jak blacha - nie prana, przepocona, dezynfekowana tzn. poddawana w piecu odpowiednio wysokiej temperaturze. Proces nazywano "prożarką". Ciało przez to ogromnie swędziło. Z wszawicą było niesposób uporać się w tej ciasnocie. Pomagałyśmy sobie wzajemnie, ale te insekty były mocniejsze, odżywiane naszą krwią, więc łatwo sobie dawały radę w swoich wędrówkach, a ponieważ leżałyśmy pokotem tuż obok siebie, jak śledzie w beczce, nie musiały pokonywać dużych odległości. Kiedyś wyprowadzono nas na tzw spacer, między zabudowaniami uformowano dwa kółka. Jedno z więźniarek, drugie więźniów-mężczyzn.

Chodziliśmy jedno za drugim w kółko - pośrodku mężczyźni był Bolek, zaraz łatwo mogłam go poznać, choć był wynędzniały ale postawa sportowo-wojskowa. Było to *radosne odkrycie*, - pokiwaliśmy tylko sobie, ale to było dla mnie wielkim szczęściem.

Potem długo, bardzo długo wiele miesięcy nie widzieliśmy się. Okres ten był pełen ciężkich doznań - niepokoju - głodu - chorób, niepewności, pod wielkim znakiem zapytania, czy zostaniemy przy życiu?

Nie wyprowadzano nas na spacer. W tym piekle najszabsza ludzka nadzieja staje się złudna.

Rozmieszczono nas w celach, jakoś się przeczekało, część ludzi zdążyli wysłać w etapy na dalszą tułaczkę.

Wybuchł więc tyfus z tej naszej nędzy

Zarządzono kwarantannę, przez to nie przyjmowano wogóle na punkt rozdzielczy więźniów w Charkowie, ale i nie wysyłano.

Coraz gorsze stawało się wyżywienie - chleb nie docierał do nas po kilka dni, raz na dobę w nocy rozdawano bałandę, której nigdy nie było w dostatecznej ilości, zawsze komuś nie starczyło.

Po cichutku w nocy, w tłoku rozlewano i oblewano nas.

W tym Charkowskim więzieniu panował jakiś dziwny reżim, można było wychodzić z celi do celi, nie było zamykane przez jakiś czas. Wiele więźniarek pochodziło z Charkowa, otrzymywały paczki od rodzin. Wszystkie kładły na okna, żeby nie psuło się, a zresztą na podłodze nie było można przechowywać, ponieważ miejsca starczało na siedzenie jedna przy drugiej. Zbliżenie się do okna było wielką próbą siły przy głodzie, który doskwierał.

Nie jednej na widok chleba, sucharów słoniny - ślina do ust napływała, ale nie zdarzyło się, żeby której skradziono cokolwiek.

Z jedną pielęgniarzką, która czasem przychodziła do celi, udało mi się nawiązać rozmowę. Zapytałam, czy nie bywa na męskim oddziale, prosiłam, aby dowiedziała się o Bolku i przy okazji przekazała mi coś o nim.

Niebawem dowiedziałam się od niej, że choruje. Zapytałam, czy tyfus? powiedziała, że nie wie. Miałam prześcieradło ze sobą, udało mi się wymienić z kobietą, która otrzymywała paczki z domu. Mogłam Bolkowi przekazać białe suchary i smalec. Dałam kobiecie, która nosiła wrzątek na piętro do części budynku, gdzie znajdowali się mężczyźni, żeby doręczyła Bolkowi.

Wiedziałam, że ryzykuję. W tym samym dniu wezwano mnie, a raczej zaprowadzono do funkcjonariusza więziennego, który odczytał mi reprimandę, pytał, skąd wzięłam suchary i smalec i kto mi pozwolił przekazywać do męskiego oddziału. Powiedziałam mu prawdę, że mam ⁿⁱmęża chorego, dowiedziałam się o tym, od kogo tego nie powiem. Prześcieradło swoje własne zamieniłam na suchary i smalec z osobą, która otrzymuje paczki z domu - nie ^{znam} jej nazwiska ani jej nie rozpoznam wśród tylu kobiet. Chciałam doręczyć zawartość tej paczuski choremu mężowi. Jeżeli nie masz zapewne serca, pozbawiony jesteś uczuć ludzkich, to zabierz, zjedz - może jesteś głodny.

Posadz^ł mnie do karceru, jesteście bezlitośni, czy jesteś pewny, że sam w mojej sytuacji nie postąpiłbyś tak samo.

Jeszcze nie wiadomo, co cię czeka, może będziesz jeszcze w gorszych warunkach i nikt ci nie poda ręki, nie pomoże.

Czy nie widzicie, jaka tu nędza ludzka, istne piekło, dno życia. Młczak, coś rysował na papierze, coś pisał, wreszcie wstał i wezwał przez drzwi strażnika, który odprowadził mnie do celi.

Nie posadzono mnie do karceru, na co byłam przygotowana, nie wiem też, czy Bolek otrzymał, co przekazałam. Moją uwagę znów wielokrotnie zwracała młoda Greczynka. Znała trochę język rosyjski, mogła się porozumieć. Gdzieś słyszałam, jak prosiła jedną z kobiet, żeby dała jej cukier za chleb, dostała parę łyżeczek dla rodziców. Wreszcie nie mogłam nic doręczyć, sprawa przekazywania mężczyznom czegokolwiek była wielce skomplikowana.

Matka była z nią, widziałam, jak się nią troskliwie opiekowała.

Miałam wrażenie, że nie była sprawna umysłowo. Podziwiałam, jak

jadły śledzie posypane cukrem. W nocy kiedyś usłyszałam płacz

dziewczyny. Ciało ^{matki} odeszła, pozostawiając córkę w tym nies-

częściu. W parę dni dowiedziałam się, że ojciec zmarł również.

Bardzo ubolewałyśmy nad jej losem. Śmierć dziesiątkowała więźniów.

W Charkowie umierali na tyfus, widocznie nie nadawali chować,

bowiem z okien celi naszej było widać, jak układali w stosy ciała,

przykrywali brezentem, z pod którego sterczały nogi lub ręce.

Jeżeli przyniesiono więźniów w butach, to w ~~z~~ następnym dniu

już widać było bosa nogi. Była dość ostra zima. ^Yamarzł stos trupów.

W każdym niemal poznawałam Bolka. Nusia odciągała mnie od okna,

na różne sposoby.

Tłumaczyła, żebym nie załamывała się, że to wcale nie on, że to moja chora wyobraźnia może mnie doprowadzić do obłądu.

W tym wszystkim trzeba było wypracować sobie system równowagi psychicznej i odporność. A było to bardzo trudne. Pomimo wszystko przekonać się mogłam, że przeżywając głęboko osobiste dramaty związane ściśle z dramatem Ojczyzny wciąż narastających problemów, z którymi przyszło się wzmagać - udało mi się zachować organizację duchową z osobistymi uczuciowymi przeżyciami - udało mi się nie stracić równowagi duchowej. To nie znaczy, że cierpienia osobiste, ból patriotyczny nie wstrząsnęły, nie zachwiały moją wiarę, nie budziły wątplenia w sprawiedliwy porządek świata. Przeżycia, napięcia dramatyczne nadawały temperaturę uczuciową.

Do celi naszej przyszła strażniczka z propozycją, czy znajdzie się ktoś na ochotnika do noszenia wrzątku do męskiego oddziału na I-sze piętro. Nusia poderwała się, mrugnęła do mnie, szepnęła, że pójdzie, może się coś dowie o naszych współtowarzyszach. Nie udało się. Jednak dowiedziałam się, że ogromnie ciężko było przy naszym wygłodzeniu i wychudzeniu dwa wiadra wnieść na piętro po schodach śliskich od rozchlupywanej wody, która natychmiast zamarzała. Przy innej okazji ja, wbrew Nusi, poszłam nosić wrzątek, mając nadzieję - może się uda dowiedzieć coś o Bolku i Michale. Ledwie wniosłam na górę, to było ponad moje siły. Weszłam do korytarza. Postawiłam wiadra do zbiornika - wrzątek wlewał jakiś mężczyzna. Odważyłam się zapytać, czy jest tam taki mężczyzna szczupły, wysoki, łysy. Wymieniłam nazwisko, powiedział, że jest. Zapytałam, czy mógłby wyjść na chwilę - on mi na to, przecież tu wszyscy chorzy na tyfus. Tak przypuszczałam, a teraz jestem pewna, że Bolek jest chory, nie bezzasadne były moje pesymistyczne myśli.

Czy zniesie tę chorobę w tych okropnych warunkach, pozbawiony opieki lekarskiej, lekarstw i diety.

Myśli nieustające o Bolku i Michale nas nie opuszczały.

Z celi naszej prawie każdego dnia izolowano po kilka kobiet, podejrzanych o tyfus. Częściej zjawiali się pracownicy służby zdrowia. Nie wiem, czy były to lekarki, czy raczej może doświadczone pielęgniarki. Pewnego dnia w czasie, gdy szykowano kobiety z naszej celi do łaźni i dezynfekcji, chwycił mnie atak. Z początku silne ziębienie, a potem wystąpiła bardzo wysoka temperatura do utraty przytomności. Nusia nie chciała odejść ode mnie, ale kazano jej zabrać swoje rzeczy i pognali ją do łaźni. Zostałam sama w celi, majaczyłam, nad ranem pociłam się. Byłam niesłychanie osłabiona, odizolowano mnie, znalazłam się sama w niewielkiej celi. Przychodziła czasem pielęgniarka, mierzyła temperaturę. Przez cały tydzień miałam obniżoną temperaturę, byłam osłabiona, ale wróciłam do normy właściwie. Chcąc dowiedzieć się o Bolku, wypytywałam jedną z pielęgniarek, sądząc że ma dojście do męskiego więzienia.

Przez nią miałam niekiedy skąpe wiadomości. Czasem mogłam przekazać chleb, który ^{ego} nie zjadałam. Martwiłam się o Nusię, czy nie jest przypadkiem chora, tymczasem po tygodniu znowu powtórzył się atak i już wtedy nie miałam wątpliwości, że nawiedził mnie tyfus recydywujący powrotny. Po przerwie miałam trzeci nawrót i po dwu tygodniach powróciłam do celi ogólnej. Nusia szczęśliwie uchowała się, nie chorowała. Straciłam natomiast kontakt z pielęgniarką, od której miałam niekiedy wiadomości o Bolku i Michale.

Czas w tym piekle powoli ale przesuwał się do przodu - ile to już miesięcy znajdujemy się w Charkowie. Znikały stopniowo trupy ze sterty za oknem. Wiele ^u ludzi nie doczekało się wyroków, ani nie dojechali na miejsce przeznaczenia do odbycia ich kary.

Pewnego dnia zjawili się w celi strażnicy, kazali z okien wszystko pozdejnować wyrównać szeregi na podłodze, jednym słowem na podłodze spędzić noc - ponieważ komisja ma przeprowadzić inspekcję.

Niebawem otworzyły się zamki w drzwiach do naszej celi, weszło w asyście strażników kilku wyższych rangą oficerów.

Zadawali pytania poszczególnym kobietom, za co siedzą? jakie mają wyroki? W końcu jeden z nich zapytał, czy mają jakieś zapytania, ja podniosłam rękę. Zapytano, o co chodzi, powiedziałam, że jest tu w więzieniu mój mąż i proszę o zezwolenie na widzenie z nim. Zapytał, jakiej jestem narodowości? czy jestem już po wyroku? Skąd wiem, że mąż jest w więzieniu? jakie moje nazwisko?

Odpowiedziałam, że jestem Polką, podałam swoje nazwisko, jestem po śledztwie, wyroków jeszcze nie mamy. Przywieziono nas razem w jednym etapie i widziałam go na spacerze.

Powiedział, że mam napisać podanie z prośbą o widzenie się z mężem. Powiedziałam, że w tych warunkach nie mam możliwości, nie mam papieru ani ołówka. Spojrzał na mnie, zwrócił się do jednego z asysty oficera, aby umożliwił widzenie się z Bolkiem jeszcze dziś.

Po upływie ^dgoziny zjawił się strażnik, zaprowadził mnie drogą przez to samo zaszczurzone^e podwórce. Widziałam, jak przebiegały te obrzydliwe stworzenia z długimi ogonami, które widziałam już z okna celi, jak penetrowały stosy pod plandeką. Szliśmy po schodach żelaznych na piętro, drzwi były otwarte, znaleźliśmy się w korytarzu, kazał mi zaczekać, stałam chwilę, aż w końcu korytarza zauważyłam zbliżającą się postać Bolka. Jakże bardzo był wymizerowany, wprost nie do poznania. Rozchylił poły jak zwykł to czynić. Utonęliśmy w wymownym uścisku. Mówiliśmy, słowa rwały się. Chcieliśmy sobie dużo powiedzieć. Bolek po tyfusie plamistym był bardzo mizerny, ja zapewne też nie lepiej wyglądałam po chorobie. Spotkały się dwa szkielety, ale jeszcze w powłoce ciała, pełni uczuć dla siebie, niepokoju i troski o swój los.

Opowiedział, że lekarz kobieta, Nesterenko, opiekowała się nim. W jakiś sposób dostarczała leki - podejrzewała serce przy nagłym spadku temperatury. i tylko jej zawdzięczam^y pozostanie przy życiu.

Ponieważ Michał bardzo ciężko ^ochrował na tyfus powrotny leżał na tej samej sali czy też celi nierozłącznie, jak ja z Nusią, życzliwość płynęła z serca i w porę, w tym przypadku ogromnie dawała siłę uzdrawiającą.

Byłam szczęśliwa, że moje wszelkie obawy i wrażenia pozaokienne, które były powodem udręk, ciężkich doznań przez czas pobytu w celi więzienia zostały nareszcie jedynie odnośnie Bolka nie bezzasadnymi przypuszczeniami, które mogły stać się rzeczywistością. Tragedią jest przestać żyć, ale są okoliczności, w których większą tragedią jest dalej żyć. Co z nami będzie? Skończyło się nasze spotkanie, kto wie, kiedy się teraz zobaczymy. Nasze widzenia w więzieniu były dla mnie światłem wśród strasznego mroku udręki.

Przy każdym spotkaniu "Mateusz" zachowywał się bezpośrednio, swobodnie, był odważny, nieustraszony. W wątłym swym ciele miał siłę i pogodę ducha, swoją cudowną postawą, wartością psychiczną - działał kojąco.

Był mocny, a trzeba było być mocnym, bardzo mocnym, żeby nie upaść na tej ciężkiej drodze życia.

Od pewnego czasu nie słyszałyśmy dziecięcych głosów wołających chleba. Co się stało, że umilkły, czy zostały wywiezione, czy •trzymują regularnie dostateczne ilości chleba. Znowu rozpoczął się wzmożony ruch w więzieniu. Brzęczały klucze, otwierano i zamykano cele, wywoływano ludzi. Z naszej celi zabrano znów kilkanaście kobiet.

Żegnały się z pozostającymi. Przez czas pobytu żyte z sobą, wspólną niedolą. Pakowały do swoich worków szytych ze spódnic, lub z innej części garderoby z ręczników - czas rozpaczliwego okresu choroby i kwarantanny, z myślą by łatwiej, zręczniejsznie unieść w etapach na swoich wątłych ramionach niezbędne łachmany, drobiazgi zniszczone lecz niezbędne.

Niebawem przyszła i na nas kolej . Na rozkaz zwinęliśmy swoje zniszczone przez rok b.żz małą na cemencie ubranie.

Wyprowadzono nas na podwórze więzienia. Szukałyśmy ~~z~~ wśród stojącej gromady więźniów naszych najbliższych. Stały ludzkie cienie - wyniszczone tyfusem, a wśród nich niebawem zauważyliśmy dwie odrywające się od grupy postacie zmierzające do nas - Bolka i Michała. Pozwolono nam narazie pozostawać razem.

Bolek wskazał na stojącą opodal niewiastę^t, której tak wiele zawdzięcza. Była to lekarz Nesterchenko, mieszkanka Charkowa, jedna z towarzyszek naszej niedoli - czyli więziona.

W czasie epidemii tyfusu w więzieniu zatrudniono ją do pomocy w zwalczaniu epidemii. Miała kontakty z rodziną, z domem, może nawet ze służbą zdrowia. Otrzymywała z domu paczki żywnościowe, a także leki, które rozdzielała swoim ^dpoopiecznym więźniom. Opatrzność Boska szczęśliwym zbiegiem okoliczności - Bolek znalazł się w szeregu tej wszechmiar troskliwej opieki - lekarki czułej na niedolę ludzką, która w tych niezwykłych, trudnych warunkach niosła ofiarnie pomoc ludziom sobie obcym - obojętnym, ale nie jej szeroko pojętego humanitaryzmu.

Pełna poświęcenia ponad swoje znikome możliwości obywatelskie ratowała od śmierci więźniów.

Bolek chcąc jej wyrazić swą wdzięczność, chciał jej ofiarować swoje futro - nie przyjęła, dziękował jej za uratowanie życia, za troskę. Ona życzyła Bolkowi zdrowia i powrotu do swojej ojczyzny. Po czym załadowano nas na ciężarowe wozy, nawet razem całą czwórkę i zawieziono na stację kolejową. Jak zwykle w naszych etapach, nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. W wagonach ulokowano osobno mężczyzn, oddzielnie kobiety. W drodze snuliśmy różne przypuszczenia, może nas wiozą na rozprawę do Moskwy.

Próżne były nasze domysły - nie wiemy - nikt nam nie powie, co nas czeka i gdzie będzie kres naszej podróży. Pomimo to z ulgą opuszczaliśmy Charkowskie więzienie po czternastomiesięcznej udręce -

- epidemii tyfusu i koszmarnej kwarantannie.

Przez okna wagonu przesuwały się monotennie krajobrazy. Był już kwiecień - w wielu miejscach widziałyśmy wyglądające nieśmiało spod śniegu połacie zielone, a nawet na łąkach miejscami kaczeńce, o tej porze roku, kiedy przyroda się budzi ze snu zimowego - smutek większy przenikał do głębi, bowiem coraz bardziej oddalali nas od naszego rodzinnego kraju - o czym świadczyły mijane stacje kolejowe.

W drodze karmiono nas słoną rybą, śledziami pobudzającymi pragnienie, przy czym nie dawano wrzątku - wody - żadnych płynów, Na wołanie chóralne pełnym głosem rozlegającym się w wagonach, odpowiadano ordynarnymi słowami nie do powtórzenia.

Oby Bóg miłosierny obdarzył nas cierpliwością, siłą woli i wytrwałością na miarę naszego losu.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że udziałem naszego pobytu będzie ciężkie zmaganie, próba siły charakterów, wola i hart ducha wystawiane będą na ciężkie próby.

Coś się działo niepokojącego w przedziałach męskich pociągu, słychać było wrzaski, wyzwiska.

Byłam pełna obaw o Bolka, słabego po chorobie. Wiedziałam w jakim znajduje się środowisku. Byli to kryminaliści w większości, przestępcy mający często powiązania ze sędziami i przez co próżne były interwencje do naszych opiekunów.

Następnym naszym punktem rozdzielnym okazał się Kijów.

Z peronu wyprowadzano nas poza stację kolejową - sprowadzono, wszystkich odliczono, uszeregowano. Bolek zgłaszał kradzież futra w przedziale podczas jazdy, nie reagowali na skargę, co potwierdziła celowość sadzania więźniów politycznych między złodziejami dla swej korzyści.

Załadowano nas na ciężarówki, przewieziono do więzień. Tym razem były to baraki drewniane. Znowu poddano nas higienicznemu zabiegom.

W łaźni obserwowaliśmy się z Nusią wzajemnie.

Byliśmy bardzo wychudzone, ciało zwiotczałe nabrało szaro-brunatnej barwy. Skóra zmarszczona, sucha jak łuska, pośladki obwisłe jak woreczki, pomarszczone pozbawione mięśni zupełnie. Żebra można było policzyć, brzuch zapadły, wklęsły. Na naszych szkieletach można było uczyć się anatomii.

Po rytuałach w łaźni - goleniu - odprowadzono nas do jednego z wielu baraków drewnianych, bardzo ponurego pozbawionego światła dziennego, oświetlonego jedynie kagankiem, gdzieś w kącie.

Nie zapomnę tego wstrząsającego widoku - wrzącego tłoku kobiet zatłoczonych w tym mrocznym pomieszczeniu na piętrowych pryczach na glinianej podłodze, leżących, siedzących, stojących, wrzeszczących, kłócących się w zasłonie dymnej machorki, w smrodzie, brudzie, nędzy ludzkiej, ubóstwie.

Wszystkie miejsca zatłoczone.

Nie sposób ani przejść, ani zatrzymać się, ani precisnąć.

Obok słupa drewnianego podpierającego prycze przystanęliśmy obie.

Przez środek baraku pozostawało wąskie przejście, przepisowe dla strażników. W tym mrowisku składającym się z ludzi różnego pokroju przeważnie z środowisk przestępczych, można było obserwować różne zachowania. Więźniarki i robotnice były pogrążone w smutku, potulne, bezwolne, zmęczone, obojętne na otoczenie.

Inne, zamknięte w sobie, unikały rozmowy. Najagresywniejsze, nieustępliwe były tzw. "Urki" ze świata przestępczego.

Od tych poza wyzwiskami najgorszymi można było wszystkiego się spodziewać: kradzieży, brutalności, pobicia.

Nie miały nic do stracenia, były obyte. W więzieniu czuły się dobrze, pewnie, nadawały ton. Miały swoje pochlebczynię, zabiegające o ich względy, łatwo się ze sobą porozumiewały.

Jedno dla wszystkich tu więzionych było wspólnym odruchem - raczej koniecznością - drapanie się.

Początkowo nie mogliśmy się zorientować, ale nie długo przyszło nam oczekiwać, rozwiązanie zagadki - bowiem i nas dosięgnęła ta straszna plaga, pluskwy i wszawica.

Czegoś podobnego w życiu ani przed ani potem nie spotkałam, nie doznałam, co w Kijowie po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, pluskwy - nie widziałam tego robactwa nigdy. Wszy miałyśmy już w Charkowie. Po zabiegach higienicznych i samo-kontroli mniej nam dokuczały, ale w Charkowie były przyczyną epidemii tyfusu. Prześladowały nas później przez wszystkie punkty rozdzielcze i obozy. Ale w takiej ilości, jak w Kijowie, nigdy nie było. Trudno sobie wyobrazić potworność tego zagadnienia. Piły naszą krew, nie było sposobu obrony.

Wędrowki tych insektów po ścianach i słupach podpierających prycze z góry na dół i dołu do góry najróżniejszego kalibru od małych wielkości główki szpilki do dużej kropli wody - napęczniałe naszą krwią.

Bardzo cierpiałymy od pierwszych ukąszeń. Dezynfekcje nie były przeprowadzane. Żadnego sposobu walki nie było.

Wszawica, a szczególnie pluskwy, nękające nas robactwo doprowadzały do bezsenności i osłabienia.

W ten sposób etapy oswajały nas z tym, co dopiero następowało za każdym razem coś okropniejszego. Jednym skokiem organizm człowieka nie mógłby wytrzymać.

Wiele przygód, ciężkich doznań niespodziewanych nas jeszcze oczekiwało, jakie w najkoszmarniejszych snach nie przewidywałyśmy.

Pomimo wszystko natrafialiśmy niekiedy na ludzi wrażliwych.